



ZALEDWIE 10 DNI

przeżył ustanowiony na zawodach w Londynie rekord świata w biegu na 5 km. Autor rekordu, Chataway, uzyskał czas 13 : 51,6 wyprzedzając Włodzimierza Kuca o 0,2 sek. (na zdjęciu). Przed tygodniem biegacz radziecki poprawił w Pradze rekord Anglika, osiągając 13 : 51,2 sekundy.

Fot. Keystone

MOCNO, ostro i słusznie skrytykowano jeden z ostatnich nowych filmów polskich, a mianowicie film pt. „Niedaleko Warszawy”. Wydaje mi się jednak, że w krytyce tej nie dotknięto istoty sprawy, że istotną przyczyną klęski twórców tego filmu, jak i następnego pt. „Pościg”, jeszcze pozostaje tajemnica. Tajemnicą pozostaje sprawa, jak to się dzieje, że subtelny poeta, świetny i wnikliwy tłumacz Puszkina, znawca poezji francuskiej, mający tyle ciekawego do powiedzenia o malarstwie i sztuce w ogóle — Adam Ważyk, gdy przystępuje do pisania dialogów w swoim filmie — staje się płytki, zdawkowy, aż śmiesznie schematyczny.

Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie w oparciu o przykład z filmu. Jest w tym filmie taka scena: w mieszkaniu naczelnego inżyniera podwarszawskiej huty dochodzi do słownego starcia między gospodarzem i sabotażystą, byłym jego kompanem politycznym. Sabotażysta dobywa rewolweru, mierzy i... Według starych, po tysiąc razy znanych, ale niezawodnych wzorów strzał nie rozlega się, a widz już za sekundę znajduje się na ulicy owego fabrycznego miasteczka. Domyślać się wolno, iż jest to następny dzień rano. Pilnie obserwujemy ruch na ulicy, zachowanie się ludzi, ich rozmowy, pragnąc z tego wszystkiego wywnioskować, co się poprzedniego wieczora stało w willi inżyniera.

Patrzmy, patrzmy i nic nie możemy się dowiedzieć: ulica jest martwa, nijaka, codzienna, a więc chyba strzały nie padły, no bo, gdyby padły, to miasteczko byłoby do głębi poruszone: ów inżynier pracuje w fabryce i odgrywa w niej dużą rolę od lat dwudziestu! Dopiero z rozmowy jednego z drugim dowiadujemy się, że inżynier został zamordowany.

Podobną scenę mamy w filmie „Pościg”. W stadninie państwowej odbywa się pokaz koni. W tym momencie przychodzi wiadomość, że część koni w stajni padła. Dyrektor schodzi z trybuny. Dwa tysiące ludzi na trybunach trwa nieporuszenie. Tylko jeden mówi do drugiego, że coś musiało się stać. A w parę minut później od porucznika bezpieczeństwa dowiadujemy się, że sabotażyści popelnili swą zbrodnię właśnie w czasie pokazu, by wywołać panikę wśród ludności, by zdyskredytować gospodarkę państwową. Ale tej paniki, tego ludzkiego poruszenia nie widzimy, my się o nim dowiadujemy z rozmowy, tak jak byśmy mieli do czynienia z radiem, a nie z filmem, którego językiem jest obraz, a gadanie to rzecz dodatkowa.

ALE twórcy obu filmów uważają, że czego widzieć się nie dowiemy z gadania, tego się nie dowiemy w ogóle. Że pokazanie poruszenia w małym miasteczku po zabójstwie inżyniera, że pokazanie poruszenia na trybunach po wypadku z koniami nie będzie zrozumiałe dla szerokiego kręgu widzów. Twórcy filmów wychodzą z założenia, że widzowi trzeba wszystko powiedzieć, bo jest on niezdolny

do wszelkiego innego sposobu przyjmowania wiedzy o świecie.

Takie założenie, z gruntu mylne i fałszywe, prowadzi do zabicia podstawowych założeń sztuki w ogóle. Oba te filmy, a zwłaszcza film „Niedaleko Warszawy”, nie mają w ogóle nic wspólnego ze sztuką, tym samym są w ogóle niepotrzebne. Dlaczego? Dlatego, że celem sztuki jest wzruszać, a poprzez uczucia, poprzez wzruszenie docierać do człowieka, zmieniać go, czynić lepszym. Gdy sztuka przestaje przemawiać swoim językiem, gdy przestaje pokazywać poruszenie ludzkie na ulicy po zamordowaniu inżyniera, gdy nie pokazuje poruszenia ludzi na trybunach, a całą informację odsyła do rozmowy, rzeczywiście zapobiega wszelkim nieporozumieniom co do toku akcji, a jednocześnie samą akcję, sam film czyni zbędnym.

SKAD to wszystko się bierze? Mnie się zdaje, że z tego samego co płytki i nieprawdziwy scenariusz Ważyka, nieprawdziwy i pokraczny dialog tego filmu. Ważyk, Rojewski w filmie „Pościg”, i wszyscy inni twórcy obu filmów obawiają się zastosowania sztuki w swych filmach. Wszelka sztuka bowiem przemawia skrótem, obrazem, przenośnią, przejaśnieniem. I tutaj powstaje pytanie: Czy ludzie to rozumieją? Po prostu czy ludzie proszą w mieszkaniu i na wsi zrozumieją wymowę sztuki? Twórcy obu tych filmów są bardzo zarozumiali: oni uważają, że ludzie nie rozumieją, że tajemnicę sztuki im zwierzano i nikomu jej nie mogą wydać.

To prawda, że wieki zacofania, ciemnoty, analfabetyzmu, w których utrzymywano szerokie masy ludowe, przyczyniły się do tego, że zasób wiadomości, że odczytanie i wiedza szerokich mas w Polsce jeszcze jest niedostateczna, że mamy w tym zakresie do czynienia z wieloma objawami zacofania. Ale u twórców obu filmów niewiara w szerokie masy odbiorców spleta się z brakiem zaufania do sztuki. Bo do jej właściwości należy, że potrafi trafić do duszy i umysłu człowieka nawet niezbyt wyrafinowanego, niezbyt rozwiniętego intelektualnie. Nie trzeba kończyć wielu fakultetów na uniwersytecie, by móc się wzruszać Mickiewiczem. Ba, nieraz te fakultety odbierają człowiekowi umiejętność wzruszania się.

Wyrzekanie się praw i przywilejów, jakie ma sztuka, w dziełach przeznaczonych dla mas jest wyrazem podwójnej niewiary: i w masy, i w sztukę. A z takiej niewiary mogą powstawać tylko rzeczy chore, ulcenne, pokraczne, nie mające nic wspólnego ze sztuką i ludziami. Ważyk uważa, że piękna poezja, że subtelne przeżycia, że dawanie wyrazu tym uczuciom — wszystko nie ma nic do rzeczy wówczas, gdy robi się film dla mas. Nie można wyobrazić sobie smutniejszej pomyłki w kraju, w którym robotnicy na zebraniach cytują Mickiewicza i Słowackiego.

JAN SZELĄG

DONIOSŁE WYDARZENIE NA IX SESJI ONZ

W czasie IX Sesji Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych delegacje Związku Radzieckiego, USA, Wielkiej Brytanii, Francji i Kanady wspólnie uzgodniły projekt rezolucji dotyczącej rokowań w sprawie rozbrojenia. Projekt powołuje się między innymi na propozycję Związku Radzieckiego dotyczącą zawarcia międzynarodowej konwencji w sprawie redukcji zbrojeń oraz zakazu broni atomowej, wodorowej i innych rodzajów broni masowej zagłady. Projekt ten został dnia 22 października w godzinach wieczornych przekazany Komisji Politycznej Zgromadzenia Ogólnego ONZ. W czasie jednej z debat Komisji Politycznej nad sprawą rozbrojenia przewodniczący delegacji polskiej na IX Sesję — minister spraw zagranicznych PRL Stanisław Skrzyszewski — powiedział: „Dzięki inicjatywie ZSRR powstała realna możliwość porozumienia w sprawie rozbrojenia, powstała realna możliwość wyjścia z długoletniego impasu w tej dziedzinie”. Na zdjęciu: przewodniczący delegacji radzieckiej wiceminister Wyszyński i stały przedstawiciel ZSRR przy ONZ Malik w rozmowie z ministrem Skrzyszewskim oraz dr Katz-Suchym.



SPALENI AGENCI — NIEWYPAŁ PROWOKACJI

W numerze „Świata” z dn. 17 października, w artykule „Cień gestapo nad Francją”, pisaliśmy m. in. o sensacyjnej aferze komisarza Didesa. Nową garść szczegółów i głosów prasy w tej sprawie przynosi własna korespondencja „Świata”

FRANCIS CREMIEUX
KORESPONDENCJA WŁASNA
„ŚWIATA” Z PARYŻA

Paryż, w październiku

W poniedziałek 27 września, dziennik „Le Monde” opublikował obszerny fragment wywiadu, jakiego Pierre Mendes-France udzielił amerykańskiemu czasopiśmie „US News and World Report”. Jednocześnie wielki tytuł na pierwszej stronie „Le Monde” akcentował antykomunistyczne sformułowania zawarte w deklaracji premiera. Działo się to w przeddzień konferencji londyńskiej i skupiło na sobie uwagę francuskich środowisk politycznych. Wskazywały one, że zamieszczona w dzienniku publikacja zbiega się z konferencją i że nosi ona znamiona manewru dywersyjnego. Po raz pierwszy także w historii prasy francuskiej cała kolumna tzw. „poważnego dziennika”, jakim jest właśnie „Le Monde”, zakupiona została przez magazyn amerykański (tenże „US News and World Report”) dla zachwalania swych zasług. Wszystko to zainteresuje zresztą historyka przyszłości jako jeszcze jeden charakterystyczny przyczynek do amerykańskich usiłowań zmierzających do skompromitowania rządu francuskiego. — za to mianowicie, że ośmielił się on... odrzucić układ o armii europejskiej.

TEGO SAMEGO DNIA...

Tego samego dnia, 27 września, minister spraw wewnętrznych Mitterand oświadczył trzem dziennikarzom brytyjskim:

„Panowie, dzisiaj właśnie wybuchnął miał skandal, mający na celu skompromitowanie stanowiska rządu francuskiego w przeddzień konferencji w Londynie”.

„Skandal”, do którego uczynił aluzję minister Mitterand, dowiedzieć miał przy pomocy „fałszywych dokumentów” spreparowanych przez agentów amerykańskiego wywiadu, że Mendes-France i niektórzy jego ministrowie są krypto-komunistami i że przekazują oni Partii Komunistycznej wiadomości wojskowe, udzielane im przez „atlantyckich szpiegów”.

Gdyby wszystko poszło tak jak przewidywali to autorzy prowokacji, członkowie opozycji parlamentarnej — zwolennicy armii europejskiej (Bidault, Martinlaud Deplat, Paul Raynaud i inni) rozpetać mieli w kontrolowanych przez siebie pismach specjalną kampanię i w maksymalnym stopniu wykorzystać prowokację. Kierownicy „wojennej służby psychologicznej” sądzili, że spowodują w ten sposób upadek rządu przeciwnego armii europejskiej i zastąpią go przez starą ekipę przyjaćci hitlerowskich odwetowców, ekipę, która miałaby całkowite poparcie amerykańskich kół imperialistycznych i spróbowałaby postawić na porządku dziennym sprawę nowego ersatzu EWO.

„KOLEGA Z AMBASADY USA”

Akcja ta została jednak pokrzyżowana. Pełen komisarz policji, który współpracował

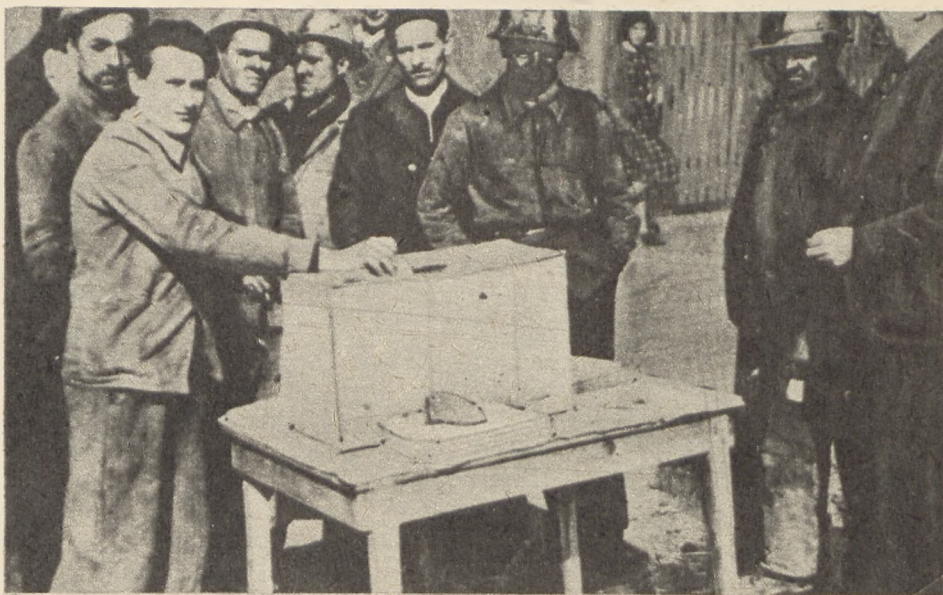
PRZED WYBORAMI DO RAD NARODOWYCH



CAF

Dzielnicowe Rady Narodowe w Warszawie kończą już prace nad sporządzaniem spisów wyborców w poszczególnych obwodach. Przewodniczący Prezydium DRN — Ochota, Włodzimierz Król, sprawdza ze swymi współpracownikami gotowe spisy.

GÓRNICY FRANCUSCY PROTESTUJĄ



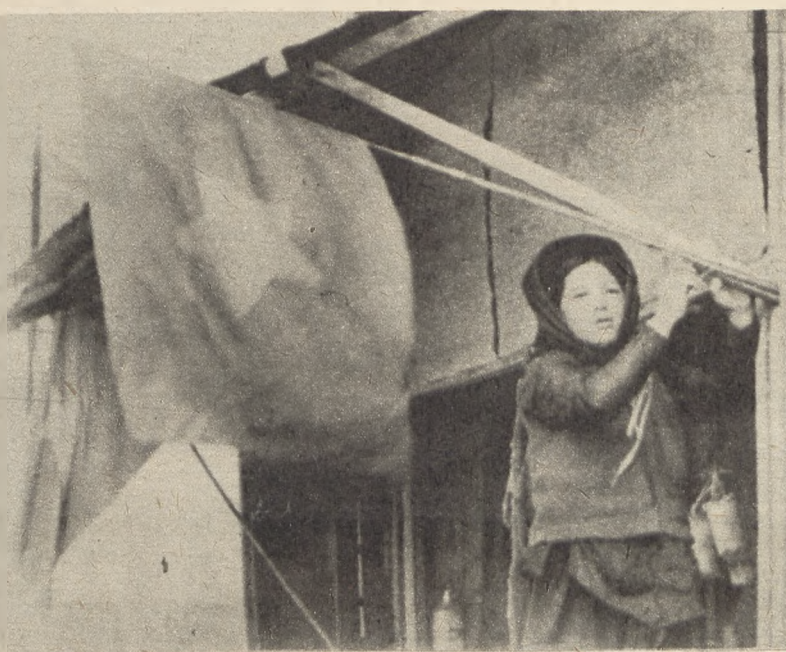
CAF

W całej Francji przybiera na sile akcja protestacyjna przeciwko wszelkim próbom remilitaryzacji Niemiec zachodnich. W akcji tej biorą udział m. in. górnicy okręgu Pas de Calais. Głosują oni przeciwko odradzaniu się hitlerowskiego Wehrmachtu.

HANOI WYZWOLONE

Zgodnie z postanowieniami układu rozejmowego Wietnamska Armia Ludowa wkroczyła 9 października do Hanoi. Na ulicach zgromadziły się dziesiątki tysięcy mieszkańców tego miasta witając wkraczające oddziały Armii Ludowej okrzykami: „Niech żyje prezydent Ho Shi Min“, „Niech żyje pokój“. W związku z wyzwoleniem stolicy prezydent Ho Shi Min ogłosił specjalne orędzie do narodu. Na zdjęciu: mieszkanka Hanoi dekoruje dom flagą narodową

Keystone



WYSTĘPY CHŁOPIĘCEGO CHÓRU



CAF

W Polsce przebywa obecnie słynny chór chłopięcy z Drezn (NRD) „Dresdner Kreuzchor“. Na zdjęciu fragment występu 80-osobowego chóru w auli Uniwersytetu Poznańskiego.

głędys z gestapo i ponownie znalazł zatrudnienie w urzędach policyjnych dopiero wskutek interwencji amerykańskiej służby wywiadowczej — aresztowany został w chwili, gdy opuszczał gabinet jednego z ministrów. Aresztowany miał przy sobie tajne dokumenty dotyczące posiedzeń Komitetu Obrony Narodowej. Zznał, że poprzedniego dnia jechał do „z jednym ze swoich kolegów z ambasady USA“ i nie mógł wyjaśnić powodów, dla których znikły pierwsze odbitki powielanych dokumentów, które miał w posiadaniu. Nie było jednak trudno domyślić się, komu zostały one przekazane. Spalenie agencji próbował wówczas ostatniej karty. Tenże komisarz policji, osobnik zwący się Dides, oświadczył z niechęcią przytomnością umysłu, że dokumenty otrzymał od pewnego dziennikarza nazwiskiem Baranes, współpracownika prasy postępowej. Baranes, z zawodu agent policji i prowokator, oświadczył z kolei na przesłuchaniu, że adresatem tajnych raportów miał być rzekomo Waldeck Rochet, jeden z przywódców Partii Komunistycznej. W mieszkaniu Waldeck Rochet'a i w redakcji chłopskiego pisma „La Terre“ przeprowadzono rewizję, które wyników nie dały, bo dać ich nie mogły, a Baranes... został zwolniony, a później znikł z powierzchni życia i nie odpowiadał na wezwania sędziego śledczego.

„Zniknięcie“ to potrzebne było prasie reakcyjnej, ażeby rozsunąć fantastyczne wizje na temat rzekomej „komunistycznej sieci wywiadowczej“. Baranes nadal pozostawał za kulami. Komisarz Dides, dyplomowany agent amerykański z solidnym stażem w gestapo, ciągle był na wolności. Pomimo gwałtownej nagonki prasowej, opinia publiczna nie przyjmowała jednak do wiadomości rewelacji o rzekomej „sieci komunistycznej“ i zadawała unieszkodliwienie amerykańskich agentów.

W osiem dni po tajemniczym zniknięciu, Baranes zostaje jednak odnaleziony. Bomba wybucha. Sensacja! Prowokator Baranes, którego usiłowano przedstawić jako „komunistę w 100 procentach“, znalazł schronienie

w majątku skrajnie prawicowego deputowanego, Andre Hugues'a. Deputowany ten, bliski przyjaciel Jean-Paul Davida, amerykańskiego agenta propagandowego nr 1, odwiózł Baranes'a własnym samochodem i pomógł mu ukryć się przed poszukiwaniami policji. Dowiedziano się także, iż nazajutrz po pierwszym przesłuchaniu Baranes poprosił o schronienie redakcję dziennika „Le Figaro“, jednego z najgorliwszych we Francji rzeczników armii europejskiej. I wreszcie, że za rządów gabinetu Laniel Baranes otrzymywał — z tytułu swych usług prowokatora — 200.000 franków miesięcznie od władz policyjnych.

Po zatrzymaniu, Baranes wyjawiał też istnienie tajemniczego osobnika występującego pod nazwiskiem „Charles“. Policja zidentyfikowała go niebawem i okazało się, że „Charles“ jest to były urzędnik policji, ko-

laboracjonista z okresu okupacji, Alfred Delarue. Za wydawanie patriotów w ręce gestapo skazany został po wyzwoleniu na 20 lat ciężkich robót. W roku 1947 uciekł z więzienia i...

Tutaj zaczyna się nowy rozdział. Jako specjalista od antykomunistycznych prowokacji pan Charles otrzymał fałszywy paszport wystawiony mu przez policyjne biura prefekta Baylot. Z paszportem tym zabójca francuskich patriotów udał się w towarzystwie komisarza Dides w podróż służbową do Stanów Zjednoczonych. Ta nowa sensacyjna wiadomość była jeszcze jednym snopem światła oświecającym działalność wywiadu amerykańskiego we Francji.

Dodajmy dla uzupełnienia, że komisarz Dides radził w swoim czasie panu Charles stawienie się przed sędzią śledczym i umotywo-

wanie swych okupacyjnych zajęć „antykomunizmem“ i „racją stanu“. I to także, iż Charles został aresztowany — nie jako agent amerykański wprawdzie, ale za ucieczkę z więzienia sprzed siedmiu lat.

OPINIA PUBLICZNA ŻĄDA PRAWDY

Z każdym dniem załamuje się więc coraz bardziej antykomunistyczna dywersja. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że amerykańskie koła imperialistyczne wywierają ogromną presję na rząd francuski, ażeby sprawa została zatuszowana. Ale do głębi oburzona francuska opinia publiczna żąda całej prawdy i wydaje się wątpliwe, by dyplomaci spod znaku wojny i uzbrojenia nowego Wehrmachtu mogli postawić na swoim. Albowiem odkryta została antyfrancuska sieć szpiegowska, zorganizowana przez amerykańskich „dobrych przyjaciół“.



Minister Mitterrand



B. prefekt Baylot



Komisarz Dides



Prowokator Baranes



„Charles“ — Delarue



„...W rezultacie reformy podziału administracyjnego wsi i powołania gromadzkich rad narodowych, na miejsce dotychczas istniejących trzech tysięcy gmin oraz 40 tys. gromad, powstanie około 8.800 nowych gromad, w któ-

rych działać będą wyłonione w drodze wyborów gromadzkie rady narodowe. W ten sposób dokonane zostaje znaczne przybliżenie organów władzy ludowej do ludności wiejskiej...”

(Z referatu Romana Zambrowskiego na ostatniej sesji Sejmu)

Fot. Władysław Sławny

M

USZĘ ci powiedzieć, że niewiele z tego wszystkiego rozumiem. Przed paroma laty wszystko to było o wiele prostsze. — Jak to — przed paroma laty? — No tak, kiedy odbywały się wybory do Sejmu. A teraz wszystko mi się pogmatwało: wybieramy do rad powiatowych, osiedlowych, miejskich, dzielnicowych, wojewódzkich, gromadzkich, a przy tym gminy stają się gromadami i do jednej tylko rady dzielnicowej wybieram mam 125 radnych, a prócz nich są zastępcy, i w radzie stołecznej dwustu pięćdziesięciu...

— Wolniej, wolniej, strzelasz jak z karabinu maszynowego. Po prostu chodzi ci pewnie o to, że teraz trudniej się zorientować w samej procedurze wyborczej, niż podczas wyborów sejmowych.

— Tak, przede wszystkim to właśnie. Bo Sejm jest jeden, a rad całe mnóstwo, setki bodaj...

— Nawet nie setki, ale ponad dziewięć tysięcy.

— No widzisz!

— Ale ta liczba nie powinna cię przerażać, bo będziesz wybierał radnych nie do dziewięciu tysięcy rad narodowych, ale tylko do dwóch. Poza tym sprawia ci pewnie kłopot różnorodność funkcji, jakie sprawują u nas rady narodowe.

— No, to jeszcze nie jest takie skomplikowane. Przecież w kompetencjach rad narodowych leżą tylko sprawy komunalne, szkolnictwo, ochrona zdrowia, opieka społeczna — i chyba to wszystko. Aha, jeszcze problemy życia kulturalnego.

— I sądzisz, że to wszystko?

— Myślę, że tak.

— A sprawy przemysłu terenowego, rozwoju rolnictwa? A handel, budownictwo, sprawy mieszkaniowe? A ewidencja ludności? Nie, mój drogi, zakres działania rad jest znacznie szerszy, obejmuje on właściwie całokształt naszego życia. Ale z procedurą wyborczą nie ma to wiele wspólnego.

— Słusznie, ale to nie tak łatwo od razu ogarnąć myślą całokształt tych spraw. Zwłaszcza, że działalność rad nie zawsze była tak wszechstronna.

— Tak, i to można łatwo wyjaśnić. Wiadomo ci chyba, że i Krajowa Rada Narodowa i terenowe rady narodowe powstały jeszcze pod okupacją, w warunkach konspiracji. W skład rad wchodziłi przedstawiciele tych partii, ugrupowań i organizacji, które stawiały sobie za cel wyzwolenie kraju i zbudowanie państwa demokratycznego. Po wyzwoleniu rady te rozrastały się, obok nich powstawały na tych samych zasadach rady w innych miejscowościach...

— Wdzięczny ci jestem za ten zarys historii rad narodowych, ale są to rzeczy, które sam pamiętam. I mogę ci powiedzieć jeszcze, że do roku 1950 istniała u nas dwoistość władzy terenowej, że obok, na przykład, rady wojewódzkiej, istniał urząd wojewódzki i tak dalej. Zgadza się, prawda? A od roku 1950 rady narodowe z organów samorządowych przekształciły się w terenowe organy władzy państwowej.

— To już jest nieścisle.

— Nieścisłe?

— Tak. Rady nie przekształciły się z jednego w drugie; łączą one w sobie cechy i władzy państwowej i terenowego samorządu. I przez to są organem jednolitej władzy ludu na danym terenie, wyrażonej chyba w sposób najbardziej pełny.

— Ale chyba rady narodowe, jako stały organ władzy ludowej, powinny mieć bardzo określone podstawy prawne i program działania.

— I mają je. Podstawa prawna działalności rad określona została w Konstytucji PRL z 22 lipca 1952 roku. Natomiast program ich działania wytyczony został przez II Zjazd PZPR w marcu 1954 roku. Ten program — to troska o coraz lepsze zaspokajanie materialnych i kulturalnych potrzeb ludności. Wytyczne II Zjazdu dają się łatwo przetłumaczyć na język konkretnych zadań rad narodowych na poszczególnych terenach i wszystkich szczeblach.

— Tak, to nie jest takie trudne do zrozumienia. Znacznie trudniej mi jest połączyć się w tej różnorodności rad. Bo są i gromadzkie, i osiedlowe, i dzielnicowe...

— Stop! Znowu uruchamiasz swój karabin maszynowy... Pozwól, że ci zadam jedno proste pytanie: gdzie mieszkasz?

— Wiesz chyba — w Warszawie.

— A do jakiej to należy gromady?

— Cóż to znów za pomysł? Przecież gromady są tylko na wsi!

— Aha, to już jesteś na tropie rozwiązania zagadki. Wiesz już zatem, że nie będziesz wybierał do rad gromadzkich. I w gruncie rzeczy ta sprawa jest bardzo prosta. Mieszkasz w Warszawie, mieście wydzielonym, dzielnicy Mokotów. Wybierasz zatem radnych do rady dzielnicowej i do rady stołecznej. I tyle. Mieszkaniec na przykład Olsztyna wybiera do rady miejskiej i do wojewódzkiej. Twoja siostra w Suchej wybiera radnych do swojej miejskiej rady, do powiatowej w Żywcu i wojewódzkiej w Krakowie. Mieszkańcy gromad wiejskich wybierają do rad gromadzkich, powiatowych i woje-

radach narodowych zasiądzie 150 tysięcy osób. A ogółem w całym kraju będzie 230 tysięcy radnych i zastępców. Czyż kiedykolwiek w naszych dziejach tak wiele osób brało najbardziej bezpośredni i czynny udział w rządzeniu naszym krajem!

— To naprawdę imponująca liczba. Wywołuje ona jednak we mnie pewne obawy. W Stołecznej Radzie Narodowej będzie 250 radnych. W radzie dzielnicy Mokotów — stu dwudziestu pięciu. Wynikałoby z tego, że mam wybierać 375 osób, nie licząc zastępców. Przecież niesposób o nich wszystkich coś wiedzieć. A zgodzisz się chyba, że trzeba znać ludzi, na których oddaje się swój głos.

— Zgodzę się z tobą, masz zupełną słuszość, niemniej jednak twój niepokój jest bepodstawny. Nie musisz wcale znać wszystkich 375 radnych obu rad. Nie musisz dlatego, że nie wszystkich będziesz wybierał: Warszawę podzielono na 21-okręgów, przy czym z twój, jeśli się nie mylę, wybranych będzie do Stołecznej Rady Narodowej 11 radnych. A dzielnicę Mokotów również podzielono na okręgi i z każdego z nich wybierze się 8 do 12 radnych do rady dzielnicowej. Tak więc łącznie wypadnie ci znać dwadzieścia parę osób, a że to będą niewątpliwie najaktywniejsi i zasłużeni ludzie z twojej dzielnicy — na pewno ich nazwiska nie będą ci obce. Zwłaszcza że będziesz uczestniczył w wysuwaniu ich kandydatur.

— Ja?

— Tak, ty, podobnie, jak każdy inny. Kandydatury wysuwają sami wyborcy, ludność danego terenu. I do wyborów znów pójdziemy pod hasłem Frontu Narodowego, jako organu, który zrzesza partyjnych i bezpartyjnych, organizacje zawodowe i społeczne, który w sposób najbardziej szeroki reprezentuje nasze społeczeństwo.

— O jeszcze jedno chciałem cię zapytać. Wspomniałeś, że wytyczną działania rad są uchwały II Zjazdu PZPR. Znam te materiały dość dobrze i wiem, że dotyczą one zadań całego narodu, w skali całego kraju. A jak się nimi będą kierować rady powiatowe czy nawet wojewódzkie?

— W tym celu właśnie terenowe Komitety Frontu Narodowego opracowują i uchwalają programy wyborcze. Powinien je przestudiować dokładnie każdy wyborca — po to, by wiedzieć, czego oczekiwać od swojej nowowybranej rady i jakie przed nim samym stoją zadania. Programy wyborcze Frontu Narodowego na pewno staną się przedmiotem żywej dyskusji — dotyczą one bowiem spraw najżywiej nas obchodzących.

— Ale nieraz przecież zdarzało się, że rady nie w pełni wywiązywały się ze swych obowiązków, że miało się do nich te czy inne pretensje. Jakże znów teraz mamy gwarancje, że nowe rady będą pracowały lepiej, że nie będzie pod ich adresem uzasadnionych zarzutów?

— To zależy tylko od ciebie.

— Ode mnie?

— Tak. Zależy od ciebie, ode mnie i od każdego z nas. Jeśli będziemy się interesować radami tylko wtedy, kiedy mamy do nich konkretny interes — trudno przypuścić, że wszystko zawsze będzie „grało”. My przecież wybieramy rady narodowe i dla nas one pracują. Dlatego powinniśmy częściej zwracać uwagę na ich funkcjonowanie, a gdy nadarzy się okazja — pomóc, skrytykować, zaproponować. To nie tylko prawo każdego z nas, ale i nasz obowiązek. Obowiązek obywatela.

EDWARD KARLOWICZ

ROZMOWA NIE PODSŁUCHANA

PEŁNIA WŁADZY—GŁÓWNY KIERUNEK DZIAŁANIA—
KTO DO CZEGO WYBIERA—SZKOŁA RZĄDZENIA—KAN-
DYDATÓW TRZEBA ZNAĆ—PROGRAM KAŻDEGO Z NAS

wódzkich. Słowem — wszystko zgodnie z podziałem administracyjnym.

— Dobrze, ale teraz zmienia się też podział administracyjny. Nie będzie na wsi gmin, tylko gromady. Nie bardzo wiem, dlaczego.

— To uzasadniona zmiana. Powodów jest wiele, ale przytoczę ci tylko niektóre. Były dotąd 3 tysiące gmin, w każdej 10—15 małych gromad. A gminna rada narodowa była tylko jedna dla tych 10 czy 15 gromad. Rozumiesz chyba, że nie mogła ona wnikać należycie w sprawy każdej gromady. Dawniej trudno było dzielić gminę na mniejsze jednostki, za mało było na wsi urzędów socjalnych czy kulturalnych. A teraz — patrz: tworzy się 8.800 nowych gromad, a w każdej szkoła lub kilka szkół podstawowych. 8.800 nowych gromad — a w każdej sklep GS-u, prawie w każdej zlewnia mleka, ochotnicza straż pożarna i tak dalej.

— Przekonałeś mnie. Uwzględnił tylko, że skoro na wsi będzie — jak powiadasz — blisko 9 tysięcy rad gromadzkich na miejsce 3 tysięcy rad gminnych, to i trzeba znacznie więcej radnych.

— Bez wątpienia.

— I sądzisz, że to nie jest poważny kłopot?

— Absolutnie nie. Przecież w ciągu ostatnich lat przybyło na naszej wsi i ludzi wykształconych, i dobrych gospodarzy, i ofiarnych, wyrobionych aktywistów pracy społecznej. To przemiana, z ogromu której nie zawsze zdajemy sobie w pełni sprawę. Dla takich właśnie ludzi praca w radach gromadzkich będzie i znakomitą formą do wykazania swych umiejętności, i równocześnie szkołą rządzenia. W samych tylko gromadzkich

Na miejsce dawnych 3.000 gmin z 40.000 gromad



powstaje 8.800 nowych gromad

do rad wojewódzkich,
powiatowych, miejskich
itd.

80 tys.

Liczba radnych, których wybierzemy dnia 5 grudnia

do gromadzkich rad
narodowych

150 tys.

SPOŚRÓD NOWYCH GROMAD



98,9% posiada jedną lub więcej
szkół podstawowych



97,7% posiada własny sklep GS-u

„W POBOŻNYM PALATYNACIE DIABEŁ HULA”...



Od tysiąca lat biskupi ze Spiry sprawują władzę... Nuncjusz Muench kładzie kamień węgielny pod budowę nowego kościoła w Spirze



Amerykański styl życia. Po konkursie... jedzenia czekolady w opakowaniu bez użycia rąk

OD TYSIĄCA LAT biskupi ze Spiry sprawują władzę nad bogobojnym ludem Palatynatu. Nigdzie też w Niemczech nie ma tylu kościołów, klasztorów, kapliczek i krzyży przydrożnych, ile wśród górzystych lasów i winnic Palatynatu. O kraju tym mówią tamtejsi chłopcy „fromme Pfalz” — „pobożny Palatynat”. Ale cztery lata temu diabeł sprowadził się w te strony. „Der Teufel ist los” — „diabeł hula” — twierdzą chłopcy.

Diabeł nie ma zresztą konwencjonalnych czarcich akcesoriów. Nie ma rogów ani ogona. Chodzi w mundurze amerykańskim, potrafi kłesać dolarową, wszczyzna burdy, gwałci kobiety, zabija ludzi, demoralizuje młodzież i dzieci, niszczy winnice, pola i domy, odbiera chłopom ziemię i wyrzuca ich z domostw. Przemienia „złoty Palatynat” w „WACOM” — (Western Area Command), w amerykańską bazę wojenną. A teraz Palatynat stać się ma — po zalegalizowaniu porozumienia londyńskiego w sprawie odbudowy Wehrmachtu — bazą amerykańsko-adenauerowską.

Formalnie Palatynat należy do strefy francuskiej. Ale w 1950 r. Amerykanie rozpoczęli tu budowę ogromnej bazy agresji. 400 milionów dolarów i 800 milionów marek z bońskiego budżetu „kosztów okupacyjnych” rzucono na budowę 8 wielkich lotnisk, koszar, poligonów wojskowych, składów broni, gigantycznych podziemnych zbiorników benzyny i innych paliw, nowych linii kolejowych i szos strategicznych. Stworzono tu największe w Europie tajemnicze laboratoria wojskowe w Landstuhl.

W ciągu trzech lat powstało „największe poza granicami USA miasto amerykańskie” — Vogelweh — składające się ze 130 olbrzymich, szarych bloków koszarowych i mieszkalnych oraz „urzędów kulturalnych” w postaci kin (na ekranie w ciągu seansów przeciętnie 8 trupów), rozgłośni radiowej AFN i spelunek „Metropolitan”, „Fifth-Avenue”, „California”, gdzie 18 godzin na dobę ryczy jazz z „automatu muzycznego” i gdzie „boys” zawierają znajomości z „Frauleins”, zwanymi popularnie „Amizkami” lub „Weronikami”.

Jednocześnie chadecki rząd Nadrenii — Palatynatu na polecenie władz amerykańskich skonfiskował chłopom 5.980 ha ziemi ornej i 1.050 ha lasów, nie licząc odłogów. Ewakuowano mieszkańców wielu osad i wsi. Część ludności, a zwłaszcza młodzież chłopów, znalazła zatrudnienie przy budowie urzędów wojskowych. A już wkrótce — pocieszą Amerykanie — chłopcy synowie wyczuli z ojcówizny otrzymają wikt i utrzymanie w nowym Wehrmachcie. Ale chłopcy kręcą przeczącymi głowami. Przypominają sobie, że tak samo mówił poprzednik kanclerza bońskiego, gdy rozpoczął właśnie w tym miejscu budowę linii Siegfrieda.

Tak powstaje „strategiczne serce” Europy zachodniej, amerykańsko-adenauerowskie zarzewie wojny na kontynencie europejskim. Szef tego okręgu, generał amerykański Miles Reber, oświadczył niedawno: „W zasadzie osiągnęliśmy już nasz cel. Pozostały tylko poprawki, korektury, szczególnie. Jeszcze rok — a będziemy gotowi z naszym interesem”.

Interes? Dziwne słowo w ustach wojskowego. Ale w tym wypadku zupełnie na miejscu. Budowa obozu wojskowego w Palatynacie niewątpliwie



...Wyleciał w powietrze zbiornik. 31 osób zostało zabitych. Teren po katastrofie.



Linia Siegfrieda ożyła... Na ciągniku amerykańskim były szofer Wehrmachtu.

jest „wielkim interesem”. Dla przedsiębiorców amerykańskich i dla oficerów USA rozdać zamówienia, kontrolujących wykonanie robót, sprawdzających rachunki, kosztorysy, plany.

Palatynat stał się nową Klondyke, dokąd ściągali wędrując złoto hochsztaplerzy z USA, z Europy zachodniej i oczywiście ze wszystkich zakątków Republiki Federalnej. Firmy niemieckie są zresztą uprzywilejowane: trzeba przecież coś uczynić dla „starego lisa” Adenauera i odwdziżyć się jego kłicie za to, że niszczy się kraj i ludzi. A ponadto ktoś zna się lepiej na rzeczy od takich firm jak „Wayss und Freitag”, „Gruen und Bilfinger” czy „Philipp Holzmann”, które właśnie w tym rejonie budowały linię Siegfrieda przy pomocy tych samych co dziś specjalistów z „Organizacji Todt”.

Nie jeden oficer amerykański zrzucał mundur i przez noc przedzierzgał się w przedsiębiorcę. Tak np. major Bob Owen, gdy poczuł pismo nosem, „zdemobilizował się” i założył „Consolidated Engineering Limited” o kapitale zakładowym 4,5 miliona dolarów. Cichymi udziałowcami tego towarzystwa są jego koledzy z dowództwa amerykańskiego i Wysokiej Komisji USA.

A gdy doradca prawny Wysokiej Komisji USA, B. McCanly, wykrył nadużycia tej firmy i oświadczył, że „mamy tu do czynienia ze sprawą, która zagraża amerykańskiemu programowi” — nazajutrz otrzymał pismo odwołujące go do Stanów Zjednoczonych. Jak widać udziałowcy „Consolidated Engineering Limited” czuwają.

Pajęczyna dróg strategicznych, lotnisk, poligonów artyleryjskich, bunkrów i koszar nie zdołała zabić uroku skały Lorelei, czaru dolin Renu, Mozeli i Saary i blasku złotozielonych winnic zawieszonych na zboczach gór. Ale biada cywilnemu śmiatłowi, zwłaszcza kobiecie, gdyby odważyła się o zmroku wyjść samotnie na przechadzkę... Wszędzie czyha niebezpieczeństwo. Codzienna kronika kryminalna w miejscowej prasie przeraża swymi rozmiarami. Tak przybysze z Teksasu i Arizony bronią „cywilizacji zachodniej”.

A w dzień, zwłaszcza w pobliżu poligonów

wojskowych, powietrze przecina świst pocisków z dział dalekosiężnych, z działek samolotowych strzelających do ruchomych celów. Odłamki często ranią i zabijają mieszkańców. Proboszcz, sołtys, burmistrzowie ślą petycje do władz amerykańskich i niemieckich, aby zażegnać niebezpieczeństwo. Ale — jak dotąd — bez skutku. I ludność często musi przebywać w piwnicach, jak w czasie wojennych nalotów, aby chronić się przed eksplodującymi pociskami.

W Bitburgu dopiero niedawno, 23 września, wyleciał w powietrze podziemny zbiornik zawierający 140.000 litrów paliwa do samolotów odrzutowych. 31 osób zostało zabitych. 14 sierpnia 1953 r. nastąpił wybuch w składzie amunicji w miejscowości Kirchheimboland. Ilość zabitych i rannych — to „tajemnica wojskowa”. Dwa tygodnie później eksplodował ćwiczebny granat atomowy powodując zniszczenia we wsi Bledesbach-

...niszczy winnice, pola i domy —



Ehweiler. A w roku 1949 wskutek wybuchu w składzie amunicji zginęło w górach Elfel 14 osób.

Z armią amerykańską przybyła do Palatynatu armia prostytutek. Jak ujawniła debata budżetowa w Bundestagu, koszty utrzymania domów publicznych dla żołnierzy amerykańskich pokrywa się z... budżetu kosztów okupacyjnych. Chrześcijańsko-demokratyczny rząd Adenauera ma — jak widać — rozległe obowiązki.

Oficjalnie zarejestrowano w Palatynacie Reńskim 27.000 prostytutek. Ale dużo więcej dziewcząt i kobiet niemieckich uprawia prostytutkę nieoficjalnie. Wielki jest legion kobiet, których godność poniża panujący w Niemczech zachodnich system.

Pewna studentka we Frankfurcie napisała pracę doktorską na temat prostytutki w Palatynacie. Zanalizowała ona 1.000 „wypadków” i stwierdziła, że 87% wszystkich nieszczęśliwych „Weronik” i „Amizonek” pochodzi z tzw. „niższych sfer”. Bezrobocie, nędza, głód mieszkaniowy — oto powody prostytutki wymienione w pracy doktorskiej. Pozostałe „wypadki” dotyczą kobiet, które pochodzą z Niemiec wschodnich. Wyemigrowały ze strefy radzieckiej, lub później z NRD, ulegając propagandzie bońsko-amerykańskiej i... trafiły prosto do burdelów.

„Pomóżcie mieszkańcom Baumholder” — woła w rozpacz proboyszcz Mayer na łamach kościelnego pisma „Kościół i Człowiek”. Baumholder — to mała osada o 3 tysiącach mieszkańców. Nieszczęściem tych ludzi są olbrzymie poligony, na których przebywa stale 80.000 żołnierzy amerykańskich. Dlatego proboyszcz Mayer błaga:

„Kto wreszcie zahamuje żądę zabaw i wyżycia się dziesiątków tysięcy żołnierzy w osadzie liczącej 3.000 mieszkańców? Mówi się, że ruch zwiększa dochody podatkowe i ożywia interesy. Ale czy można zamykać oczy na to, że każde dziecko w Baumholder orientuje się, co to nierząd? Do urzędu napływają meldunki o przestępstwach młodzieży, która od dzieciństwa obserwuje gorszące sceny odbywające się w każdym kąci, na każdej łące, na każdym kroku. Dzieci rozmawiają o tym w domu, w szkole na lekcjach, wszędzie. Co wyrośnie z tych dzieci? A przecież zdrowie moralne młodzieży ważniejsze jest od podatków. Dlatego pomóżcie młodzieży w Baumholder! Miara się przebrała”.

Starzy chłopci widząc, że ich Palatynat przekształcił się w WACOM — w niebezpieczną beczkę prochu — świadomi są tego, że jej wybuch im w pierwszym rzędzie zagraża. Szepczą: „W pobożnym Palatynacie diabeł hula”. I coraz liczniej zgłaszają się do „Komitetu Obrony Palatynatu”, o którym Amerykanie mówią, że jest organizacją „wywrotową”.

ALEKSANDER NASIELSKI

Obrazek z ostatnich manewrów.



„MAZOWSZE” OCZAROWAŁO PARYŻ

„Jesteśmy wdzięczni organizatorom, że mogliśmy podziwiać ów niezapomniany spektakl...” — pisała „L'Humanite”. „To rzadkie bogactwo kolorów w takim samym stopniu wzbudzało podziw, jak szlachetność i dynamizm młodych artystów wzbudzały sympatię” — dorzuciła amerykańska Associated Press. W podobny sposób cała prasa paryska, niezależnie od kierunków politycznych, komentowała występy „Mazowsza”, które kilka tygodni temu bawiło w tym mieście. Na liczne i różnorodne sceny Paryża wchodziły liczne i różnorodne sztuki i widowiska — a powodzenie „Mazowsza” nie słabło. Korespondenci prasowi donosili, że wielka sala Palais de Chaillot była ciągle zapelniona, co utrzymywało pracowników tego teatru w stanie permanentnego zdziwienia. Nie ma zmiany programu, a widownia pełna — nie, tego tu jeszcze nie bywało! „Mazowsze” oczarowało Paryż, który potrafi ocenić prawdziwą sztukę. „C'est merveilleux — to jest wspaniałe” — oto słowa, które padały w tłumie ludzkim, opuszczającym Palais de Chaillot.

Zdjęcia: Muller, Paryż





PROBLEM OBROTOWY

JERZY WALDORFF

OBRACHUNKI MUZYCZNE (3)

PŁYTA gramofonowa... — Zdawałoby się, że to nie jest problem. Albo ktoś ma adapter i wtedy sobie puszcza, albo nie ma i wtedy sobie nie puszcza.

Tymczasem ów problem obrotowy jest jednym z najważniejszych w dziedzinie popularyzacji muzyki. Duża ilość dobrych i tanich płyt pozwoliłaby każdemu na założenie własnej płytowej biblioteczki muzycznej. Wtedy można przesłuchiwać ulubioną kompozycję wielokrotnie, aż pozna się wszystkie jej tajniki, co jest warunkiem rzetelnej muzycznej kultury. W świetlicy stosowny komplet płyt jest bazą kształcenia się, nieodzowną ilustracją wykładów o dzwiewcznej sztuce. Wreszcie płyty zastępują orkiestrę — dobrze lub źle — na tysiącach zabaw.

Jak wygląda zaopatrzenie naszego kraju w płyty? Co jest, a co zostało do zrobienia? Jak się przedstawia opinia społeczeństwa w tej mierze?...

Aby dać Czytelnikom odpowiedź możliwie gruntowną, zwróciłem się z pytaniami do różnych ludzi. Oto co mi odpowiedzieli:

Znany kompozytor (prosił o dyskrecję, bo chce nagrać na płyty coś swojego): Taktykę Zakładu Nagrań Dźwiękowych trzeba uznać za co najmniej bardzo osobliwą. Wiadomo mi, że — z chwalebnym nakładem wysiłku — nagrano tam ogromne ilości wartościowej muzyki, jak np. pełne opery „Halka” i „Straszny Dwór” Moniuszki. Z okazji Roku Odrodzenia nagrano cały album płyt pt. „Muzyka Odrodzenia”. Ale niech pan spróbuje zapytać o te rzeczy w sklepach — nie ma! Nie można również dostać wspaniałego nagrania „Stabat Mater” Szymanowskiego. Także liczne dzieła pod batutą naszego nieodżałowanego dyrygenta Grzegorza Fitelberga są w katalogu nagrań, ale nie do nabycia. Z nagranych muzyki poważnej na rynku nie ma prawie nic! Dlatego zastanawiam się, czy nazwy instytucji nie należałoby zmienić na Tajny Zakład Nagrań Dźwiękowych?...

Władysław Szpilman, autor wielu ładnych utworów do tańca i śpiewu: Ja jestem bardzo nerwowy, więc nie będę

rozmawiał na ten temat. Powiem tylko, że moje „Jak młode Stare Miasto”, „Deszcz”, „Warszawskie latarnie” i „Cicha noc” zostały nagrane 3 lata temu, ale do dziś nie wyszły. 2 lata temu nagrano na płyty moich „12 piosenek dziecięcych”, ale też nie wyszły. „Pójdę na Stare Miasto” wypuszczono na płytach dopiero wtedy, kiedy od roku wszyscy już to śpiewali i tańczyli. To jest tak, jak gdyby rodzice chcieli wydać córkę za mąż, lecz zastanawiali się tak długo, aż córka doszła do siedemdziesiątki. Pan przyzna, że na 70-letnią dziewicę trudno o amatorów! — Ja jestem bardzo nerwowy, więc pan pozwól, że skończę, bo mnie...

Ob. Swatoń z Wydziału Kultury CRZZ: Doceniając znaczenie płyt gramofonowych w dziedzinie propagandy muzyki Centralna Rada Związków Zawodowych dąży do tego, aby wszystkie Domy Kultury i świetlice w naszym kraju zaopatrzone były w adaptory, względnie patefony i w stosowne komplety płyt. Jak na tym tle winna być kształtować się ilościowo produkcja płyt? — Niech pan sam obliczy, przyjmując, że mamy w Polsce 56 Domów Kultury, 177 klubów fabrycznych i 10.000 świetlic miejskich i wiejskich. Przy instytucjach tych istnieje 11.000 różnych amatorskich zespołów muzycznych. Co do specyfiki nagrań, to potrzebne byłoby przede wszystkim utwory chóralne. Wiejski chór amatorski słysząc z płyt doskonały śpiew chóralny znajdzie i wzór i podniecie do własnej pracy. Poza tym trzeba by nam było nagrań na płyty oper, tańców ludowych, artystycznych, tańców użytkowych i wreszcie łatwych utworów symfonicznych. Co się jednak dotyczy muzyki poważnej, to główny kłopot jest nie z płytami, lecz z odpowiednio liczną kadrą odpowiednio przygotowanych prelegentów, którzy pomogliby robotnikom i chłopom rozumieć arcydzieła muzyczne.

Teopold L., ceniony teoretyk jazzu: Jak wykryły najnowsze badania Biblii, już podczas stworzenia świata anioły przygrywały nie na trąbach, lecz na saksofonach. Potem zróżnicowało się to w styl New-Orlean i dixieland. Oczywiście

nie będę panu tłumaczył, jaka jest różnica między swingiem i hot-jazzem, bo to nie jest dla analfabetów. Jedno powiem, że to, co się u nas nagrywa na płyty jako „jazz”, stanowi wstyd i hańbę XX wieku! Gdyby Louis Armstrong... Pan wie, kto to taki Louis Armstrong? To jest jeden z wielkich twórców muzyki, obok Beethovena, Bacha i Binga Crosby. Więc gdyby Armstrong usłyszał Cajmera, dostałby skrzętu trąbki! — To trzeba umieć... Jazz to nie jest muzyka, lecz filozofia normująca właściwie całe życie. Znałem człowieka, który do swego kataru kiszek ustosunkował się jazzowo i co pan powie? — Wyzdrowiał!

Popularny dyrygent jednej z naszych orkiestr tanecznych: Jestem ofiarą zmiennych losów! Kiedyś miałem dobry zespół jazzowy, ale nadgorliwcy poczęli wołać, że to jest zaraza moralna. Więc stawiałem się coraz mniej jazzowy, lecz im było wszystkiego mało. Czepiali się poszczególnych brzmień w fokstrotach, np. akordów z sekstą,

jakby to były dziury, przez które lud może wypaść z demokracji. Wreszcie doprowadziłem orkiestrę do stanu takiej powagi, jak gdybym dyrygował zespołem pastorów. Nawet mieliśmy już sobie na występy kupić wizytowe sutanny, gdy raptem personalni od muzyki stwierdzili, że jazz ma pochodzenie klasowe doskonałe i że trzeba go grać.

Przepraszam, ale to nie można od razu! Ja muszę moich pastorów powołać z powrotem rozruszać. Rozbawić, rozśmieszyć, czy ja wiem?... — Oni zasmakowali w nudzie!

Pewna dewotka: Płyty? Muzyka? — Grzech śmiertelny! Człowiek może się weselić dopiero po śmierci... Tylko jedna płyta podoba mi się. Ta z pieśnią do św. Marynki.

Kierowniczka dużego sklepu muzycznego w Warszawie: Uważa pan, że kontuar sklepowy jest tą ciekawą granicą, na której płyta styka się ze swym odbiorcą? Chciałby pan dowiedzieć się, jakich płyt ludzie się domagają, a jakich nie chcą? — W rzeczy samej to jest interesujące zagadnienie. Można by też zastanowić się wspólnie, jak zła lady wpływać wychowawczo na ludzi, podsuwając im mądrze płyty szczególnie wartościowe. Niestety! Na tematy owe nie usłyszy pan ode mnie ani słowa. Władze nadzórne wydają naszym sklepom surowy zakaz udzielania jakichkolwiek informacji w tej mierze, nawet prasie.

Jak z powyższych wypowiedzi łatwo można zauważyć, prosta na oko sprawa płyt jest w istocie bardzo skomplikowana i nie ma ludzi zadowolonych z obecnego stanu rzeczy. Pragnąc mieć wyjaśnienie zagadki u źródła, zwróciłem się do osoby najbardziej kompetentnej.

Janusz Urbański, kierownik artystyczny Zakładu Nagrań Dźwiękowych w Warszawie, udzielił mi następujących wyjaśnień: Chcąc pojąć trudności, z jakimi walczymy, trzeba najpierw wiedzieć, jak powstaje płyta. — Zaczyna się od nagrania muzyki na taśmę magnetofonową. Z taśmy zapis muzyczny prze-

nosi się na miękką płytę, w której igła ryje stosowne rowki. Następnie miękką płytę zanurza się w roztworze miedzi i poprzez proces galwaniczny uzyskuje się miedziany negatyw płyty. Ten negatyw jest dopiero matrycą, z której odbija się płyty rozprowadzane na rynek. — Otóż w chwili obecnej posiadamy już magnetofony, zezwalające na doskonałe technicznie nagrywanie muzyki na taśmy. Nie posiadamy natomiast jeszcze reszty aparatur, które umożliwiłyby równie doskonałe, a kalkulujące się handlowo przenoszenie muzyki z taśm na płyty. Dlatego przede wszystkim produkujemy dziś płyty z nieskomplikowanym zapisem dźwiękowym (małe orkiestry i chóry oraz soliści). Opery i utwory symfoniczne możemy tymczasem nagrywać jedynie we fragmentach.

Zakład Nagrań Dźwiękowych w Warszawie istnieje dopiero od marca zeszłego roku. Po egzystujących wcześniej Warszawskich Zakładach Fonograficznych odziedziczyliśmy nagrane taśmy, z których można byłoby zrobić około 200 płyt. Do tego dograliśmy sami taśmami około 500 płyt. Te właśnie taśmy zmyliły laików, którym się wydaje, że nagranie ich było równoznaczne z nagraniem płyt i że już gotowe płyty przechowujemy złośliwie w magazynach. W istocie płyt nie mamy, ale taśmy są naszym prawdziwym skarbem!

Zakład Nagrań Dźwiękowych podlegał dotychczas... Ministerstwu Przemysłu Drobno. Dopiero od 1 października br. podlegamy Ministerstwu Kultury i Sztuki, które specjalną uchwałą rządu dostało pełnomocnictwa i kredyty, by szybko podnieść poziom muzyki mechanicznej w kraju. Niedługo już więc będziemy mieli potrzebne aparaty i wówczas przeniesiemy na płyty skarby muzyczne, które zgromadziliśmy na taśmach.

Chwilowo, dysponując skromną bazą techniczną, wypuściliśmy jednak na rynek około 300 płyt, w tym 15% z nagraniami muzyki poważnej (uwertury do oper „Halka”, „Hrabina” i „Flis”; utwory skrzypcowe w wykonaniu Ojstracha, Wilkomirskiej i Sitkowieckiego; fragmenty z oper „Tosca”, „Otello” i „Borys Godunow”; pieśni „Mazowsza”).

Pyta pan, w jakich te płyty szły nakładach? Minimalnych! Przeciętnie po 300 egzemplarzy, choć moglibyśmy odbijać je w 100 tysiącach. — Dlaczego? Bo w całej Polsce możemy prowadzić sprzedaż jedynie w 17 sklepach Zarządu Przemysłu Muzycznego, gdyż na przykład MHD nie chcą brać płyt z muzyką poważną, jako że to jest „towar niechodliwy”. Brak też adapterów i patefonów, ale to już inna para muzycznych kaloszy...

Ja (reasumując): Chciałbym najpierw podsunąć pewną myśl Centralnej Radzie Związków Zawodowych. Skoro nie macie kadry prelegentów, którzy objęłaby kraj z odczytami ilustrowanymi muzyką z płyt, to wybijcie jednego tylko, najdoskonalszego popularyzatora. Jego odczyty będzie można nagrać na płyty wraz z muzyką. Natenczas wszystkie świetlice w kraju dostaną jednako-wo wzorowe, gotowe od a do zet prelekcje.

Co się tyczy Zakładu Nagrań Dźwiękowych, to — mimo niepokojących pozorów — rzecz przedstawia się raczej dobrze, tylko o wiele za wolno! — My tu rozprawiamy nad sposobami produkcji zwykłych płyt, a tymczasem na szero- kim świecie zaczynają już wychodzić z miedzy udoskonalone płyty wolnoobrotowe. Ich miejsce zajmuje najświeższy wynalazek: produkowane dla prywatnego, masowego użytku małe aparaty z taśmami magnetofonowymi.

Jeśli więc nie nabierzemy koniecznego rozmachu technicznego, to dojdzie może do kompromitujących skutków: w chwili, gdy na księżyc ruszać będzie pierwsza rakietą międzyplanetarna, w Polsce cofniemy się do nagrywania muzyki na woskowe walki!

KONIE GÓRĄ!

Zdjęcia: K. JAROCHOWSKI



ZAKOŃCZONE ostatnio w Sopocie II Mistrzostwa Polski w jeździectwie udowodniły niezłomnie, że dorobiliśmy się już wspaniałych koni.

Obecny na zawodach znakomity jeździec, znany na wielu torach świata, Karol Rómmel (dotychczasowy rekordzista Polski w skoku przez przeszkodę — 198 cm), nie ukrywał swego uznania i stwierdził, że nasze jeździectwo jest na najlepszej drodze do osiągnięcia dużej klasy. Gatunek koni mamy już obecnie lepszy niż przed wojną — brak jest natomiast jeszcze dobrych jeźdźców, którzy by potrafili te konie „wypracować”.

Dlatego w Sopocie obok zupełnie udanych parcoursów widzieliśmy jeszcze jeźdźców walczących nie z przeszkodami, lecz przede wszystkim z nie ujeżdżonym, choć doskonałym koniem. Przed zrzeszeniami sportowymi, a zwłaszcza przed LZS-ami stoi wdzięczne zadanie dalszego rozwoju sportu jeździeckiego, który ma tak doniosłe znaczenie dla racjonalnej hodowli konia.

Tegoroczne mistrzostwo wygrał bezkonkurencyjnie Władysław Byszewski (LZS — Moszna) na walucho „Bessonie”, wykazując na parcoursie wysoką klasę.

Finał konkursów cieszył się w Sopocie dużym powodzeniem, co dowodzi, że zaniedbany ostatnio sport jeździecki ma swych licznych zwolenników. (s. g.)



Są i takie sytuacje... Na szczęście upadek nie jest groźny. Ten zawodnik niezbyt pewnie czuje się w tej pozycji.



Na koniu także można grać w piłkę — o ile jest duża.

Prezentacja jeźdźców to wielka niewiadoma. Dopiero wyniki zawodów uplasują ich na właściwych miejscach.



ADOLF RUDNICKI

Niebieskie kartki

OSTATNI CHLEB

KIEDY siódmego dnia artysta spogląda wstecz na swe dzieło, w jednym tylko może znaleźć pocieszenie — nie w drobnych, lecz w drobnych utworach, lecz w jakiejś dużej, jak największej książce, ogarniającej jak największe życie, jak najwięcej zmysłów, serca, duszy. Czując już lodowate tchnienie na twarzy, a w sercu kłujące dzwoneczki, sygnalizujące, „iż godzina się zbliża”, artysta jakże głodny jest życia, jak bardzo w nim zakochany. Żaden drobniaczek, choćby tak porywający jak SZYNEL, jak ADOLF, jak ŚWIECZNIK, nie zaspokoi go, wyda mu się kroplą, a jemu potrzeba dzisiaj morza. W tej chwili, kiedy z wysokości ogarnia oba brzegi, nie chce kwiatów, na co osaczonemu kwiaty? Życia cudownego przez swój bezmiar — oto czego mu trzeba, za czym wszystko w nim krzyczy! Jakże drogę mu teraz całe to ogromne bogactwo, które niegdyś było jego własne: głos ojca, zamyślenie matki, zawiść brata, ciemny ogród, stary młyn nad wodą, żar tamtego sierpnia, pierwsze jesienne białe wieczory po długim lecie, płacz i uśmiech dziewcząt, wszystko, wszystko! — Wszystko to trzeba było zatrzymać, uwięzić na kartkach książek! Po to tu byłem! Oto do czego sprowadzał się cały program, całe trudne zadanie! Jakże mogłem tego nie zrozumieć? Przecież to takie proste, tak proste, że dziecko by pojęło. W czym to ja się przez tyle czasu gubiłem? Czego chciałem w tej swojej obłąkanej gonitwie cieni?

Oto moje wrażenia nad „Młodymi cierpieniami” które świeżo wyszły z druku. Niektóre z tamtych rzeczy napisałem dwadzieścia lat temu. Ładny kawałek czasu! „Cykl produkcyjny” wielu wspaniałych artystów trwa o ileż krócej!

„Dużo, dużo życia” — niestety, w „Młodych cierpieniach” tkwi go dużo, dużo za mało, bym odnalazł w nich swą rację bytu. Ale nie o tym chciałem pisać — prawdziwą niespodzianką było dla mnie to, że siódmego dnia artysta spogląda na swe dzieło, jak na SPRAWOZDANIE, jak na RACHUNEK z pobytu na ziemi, z tego co widział, czego dokonał, jak żył, jaką wagę miało to życie, kim się otaczał, o co walczył i jak walczył, jakich miał wrogów, a jakich przyjaciół. Siódmego dnia, kiedy wszystkie okiennice odpadają z łoskotem i potężna fala nowego, nieznanego, oślepiającego, wszystko przenikającego światła wlewa się do pokoju, artysta patrzy na swe dzieło pod jednym kątem, czy zawarł w nim ten niepojęty cud, który nazywamy życiem, czy pojął, czy zrozumiał go, czy zobaczył? Siódmego dnia artysta nachyla się nad swym dziełem jak głodny nad chlebem. Ono jest jego ostatnim chlebem, ostatnim życiem.

Wy, którzy zaczynacie dzisiaj — pamiętajcie: dużo, dużo życia, abyście siódmego dnia nie zasiedli do pustego stołu.

W KRAJU PAGÓD I RUCHU OPORU

JEAN BOUDIN

Korespondencja własna „Świata”

Bangkok, we wrześniu 1954

DROGA do Indochin francuskich prowadzi mnie przez Bangkok, gdzie zatrzymujemy się na jeden dzień. Urzędnik na lotnisku oświadcza dumnie, że na całym półwyspie indochińskim nie znajdziemy ani jednego kraju „bardziej zachodniego” niż Syjam. To prawdziwy Paryż Azji południowo-wschodniej, informuje nas dodatkowo z uśmiechem.

„Paryż Azji południowo-wschodniej” przepełniony jest po brzegi postaciami Buddy. Od figurynki najmniejszej wielkości, które można zdjąć z ołtarzyków i zmieścić w kieszeni, aż do olbrzymich, kilkudziesięciometrowych posągów, ze złożonymi głowami — Budda, Budda, Budda. Dobrotliwie uśmiechnięty bożek spogląda na tysiące pedałujących zawzięcie rikszy rowerowych.

Człowiek — koń, riksza, młody chłopiec w słomkowym kapeluszu, to obok Buddy druga część składowa bangkockiego krajobrazu. Po prostu trudno sobie wyobrazić, że wszyscy oni znajdują w tej ciężkiej pracy, pod straszliwymi promieniami zwrotnikowego słońca, zarobek dostateczny dla zakupu, chociażby przysłówiowej garści ryżu, wystarczającej jakoby na całodzienne wyżywienie.

Nędza, potworna, straszliwa nędza azjatycka rzuca się wszędzie w oczy. Wieczorem widzimy jej wykwit: chłopiec hotelowy proponuje nam zakupienie zupełnie oficjalnego wydawnictwa: „cennika rajskich spotkań z młodymi, pięknymi słowikami nocnymi”, czyli innymi słowami katalogu domów publicznych Bangkoku.

Zresztą — czego się dziwić katalogowi domów publicznych, skoro na wpół oficjalna, wyrażająca poglądy rządu „Bangkok Tribune” informuje, że minister spraw wewnętrznych Syjamu przygotowuje nowe przepisy w sprawie prostytucji, „które oznaczają nowy postęp w tej dziedzinie handlu” (dosłownie). Nowe przepisy „obowiązywać będą w miasteczkach rozrywkowych, ku zadowoleniu potrzeb ulicy i hotelu”.

Ba, hotele zostaną „zaopatrzone w doborowe fotografie cór radości, aby klienci mogli dokonać wyboru, a gospodarz mógł zadowolić ich wymagania”. Celem tego projektu, powiada „Bangkok Tribune”, jest „zaopatrzenie naszej stolicy w system, odpowiadający „Call Girls”, który istnieje w bardziej zaawansowanych krajach”.

Plan jest bardzo postępowy, a jakże. „Tylko dziewczęta od lat piętnastu będą mogły pretendować do stanowiska „Call Girl” i będą musiały przechodzić egzamin przed specjalną komisją urzędową”. Szczegóły egzaminu nie zostały ujawnione.

Trudno o lepszy skrót kontaktu z rządem kraju, który stanowi oparcie dla polityki amerykańskiej na półwyspie indochińskim. Minister spraw wewnętrznych organizuje prostytucję na wzór i podobieństwo „bardziej zaawansowanych krajów”.

A równocześnie z tym komunikatem czytam, że „rząd syjamski rozważa sprawę udzielenia pomocy gospodarczej Kambodży i Laosowi”. Z czego? Z jakich źródeł? Dziennikarz syjamski, który przykleił się do nas na lotnisku, powiada naiwnie: „O, les Américains nous aideront!” Zapytany, czemu w takim razie Amerykanie nie pomogą wprost Laosowi i Kambodży, odpowiada szczerze: „Tam jest trudno, tam jest teraz Komisja Międzynarodowa, wie pan, są w niej Polacy i Hindusi, mogliby utrudnić”.

Krótko mówiąc — szykuje się ofensywa amerykańska — jak zawsze początkowo gospodarcza — na trzy kraje, które podpisały układy genewskie. Domyślaliśmy się tego jeszcze w Paryżu, ale ciekawe jest bezpośrednio zetknięcie się z tym zagadnieniem na miejscu.

Phnom-Penh, nazajutrz.

Do stolicy królestwa Kambodży jest zaledwie dobra godzina lotu. Coraz cieplej i parniej. Bądź co bądź jedenasty równoleżnik, to już niemal na równiku.

Lotnisko, w porównaniu z ogromnym, rozbudowanym przez Japończyków i Amerykanów lotniskiem Bangkoku, prezentuje się nader skromnie. Ogromna rzeka płynie majestatycznie przez samo miasto. Właściwie —



Młodziutkie tancerki ze stolicy Kambodży

należałoby powiedzieć dwie rzeki, bo Phnom-Penh leży u zbiegu dwóch rzek, Mekongu i wpadającej doń rzeki Tonle Sap, która wypływa z jeziora o tej samej nazwie.

Występuje tutaj dosyć ciekawe zjawisko. W okresie deszczowym, kiedy woda w Mekongu przybiera nieraz o dwadzieścia metrów, jej nadmiar wciska się do koryta rzeki Tonle Sap, która zaczyna płynąć w przeciwnym kierunku, do jeziora. Jezioro osiąga wtedy powierzchnię około 10.000 kilometrów kwadratowych, to jest cztery razy większą niż podczas okresu suchego.

Właśnie trwa jeszcze pora deszczowa i żółte wody Mekongu płyną „pod górę” do Tonle Sap. W październiku nastąpi punkt zwrotny, po czym wody ruszą z powrotem i do nowej pory deszczowej będzie posucha, rolnik kambodżański będzie cenił każdą kroplę wody, której dzisiaj ma aż nadbyt wiele.

Kambodża, kraj 2500 pagód i 50.000 bonzów, tj. duchownych buddyjskich, żyje z rolnictwa. Tymczasem około 95 procent światowej produkcji kauczuku, 70 procent światowej cyny, 65 procent światowej produkcji kopry, 40 procent oleju kokosowego, 90 procent chininy, 85 procent pieprzu, wielki procent światowej produkcji ryżu, herbaty, tytoniu, tungstenu, szlachetnego drewna itd. pochodzi z tej okolicy kuli ziemskiej, po której odsetek — z samej Kambodży. Ale ten majątek nie należy do Kambodżan.

Imperialiści już dawno ostrzyli sobie zęby na ten łakomy kasek. Udało się rządowi francuskiemu, bo w 1863 roku król Norodom podpisał układ, oddający jego kraj pod panowanie francuskie. W muzeum przy pałacu jego pra-prawnika, króla Norodoma Sihanouka, dworzacy pokazują z dumą po dzień dzisiejszy gęsie pióro, którym zdradziecki układ został spisany. Obok leży szpada w złotej pochwie wysadzanej brylantami, dar Ludwika Napoleona III, cena zdrady. Przepaszam, widzimy tam jeszcze czarny melonik, zwyczajny czarny melonik, do którego przypięte jest brylantową kłamarą piękne czaple pióro; cały melonik obsypany jest klejnotami, nosił go król Sisowath, syn zdrajcy, w swojej nie wiadomo dlaczego „historycz-

nej” podróży do Paryża w drugiej połowie XIX wieku.

Po dziewięćdziesięciu latach okrutnego reżimu kolonialnego Kambodża uzyskała wreszcie niepodległość.

Jakie było panowanie kolonizatorów francuskich, tego dowodzi poglądowo słowniczek francusko-kambodżański, ułożony przez porucznika de Hauteclocque. Podaje on 49 „najważniejszych czasowników” i w tej niewielkiej liczbie znajduje się czasownik „fusiller”, rozstrzelać. To słowo musiał znać Francuz, który przyjeżdżał do Kambodży rządzić i uciszać. Jest też słowo „aimer”, kochać, ale występuje ono w połączeniu ze słowem „se coucher, dormir”, to jest kłaść się do łóżka, spać. Dodajmy jeszcze „labourer”, pracować ciężko, oraz „danser”, tańczyć, a będziemy mieli w kilku słowach program francuskiego imperializmu w Kambodży.

Zresztą — program każdego imperializmu w każdej kolonii.

Toteż naturalnym rzeczą porządkiem spodziewać się wolno, że naród kambodżański uważa za swoich wyzwolicieli tych, którzy pokonali okupantów, bo właśnie Francuzi pozbowali Kambodżę niepodległości. A tutaj wiadomo dobrze każdemu kłopotliwemu, kto pokonał Francuzów.

Armia Demokratycznej Republiki Wietnamu, rycerz spod Dien Bien Fu, oto pomocny imperializm francuskiego w koloniach. U ich boku walczyli dzielnie Kambodżanie, uczestnicy „Sił Oporu Khmeru” (Kambodża nazywa się po kambodżańsku Khmer).

Ten niezbity fakt uwieczniony jest w samym tekście układu genewskiego oraz w podpisach pod tym układem. Z ramienia króla podpisał go generał Nhek Tiou-long, z ramienia naczelnego dowódcy Sił Oporu Khmeru i naczelnego dowódcy jednostek wietnamskich, — Ta-Quang-Buu, wiceminister obrony narodowej Demokratycznej Republiki Wietnamu.

Niemniej jednak cała propaganda oficjalna prasy królewskiej, radia królewskiego, przemówienia gubernatorów, ministrów, ba — samego króla Norodoma, zmierzają do tego, aby zdobyć niepodległość Kambodży przypisać opatrności, Buddzie, królowi, ale nie tym, którzy krwią zapłacili za wolność swego kraju.

Co więcej — uczestnicy Ruchu Oporu Khmeru lżeni są publicznie, nazywani bandytami i złodziejami. Rząd zmyśla do tego, aby siły polityczne, które reprezentują dawni uczestnicy Ruchu Oporu Khmeru, zostały zdławione i nie dopuszczone do wyborów, bo tylko w ten sposób może pozostać przy władzy.

Naturalnie, obecność Międzynarodowej Komisji Kontroli, ustanowionej przez Konferencję w Genewie i składającej się z przedstawicielami Indii, Kanady i Polski, utrudnia bardzo rządowi likwidowanie swobod demokratycznych, z drugiej jednak strony nacisk amerykański (Phnom-Penh roi się od wszelkiego rodzaju „turystów” i „misji” amerykańskich) pcha króla Norodoma i jego ministrów ku faszyzacji kraju.

Bieda uderza nawet na pierwszy rzut oka, w drodze z lotniska. Wątle domeczki na palach robią wrażenie — większych gołębników europejskich. Ludność ubrana niezwykle ubogo. Wieczorem wystarczy wyjść z hotelu, aby tłum rikszy na rowerach obkroczył przybyśza.

— Une mademoiselle chinoise? — pyta półgłosem riksza. Kiedy mu się daje znak, aby dał spokój, mówi tym samym tonem: — vietnamienne? cambodgienne? — aż wreszcie szczyt wszystkiego: — une mademoiselle française?

Symbol straszliwej biedy, ale w ostatniej propozycji również symbol upadku kolonializmu francuskiego, bo za „francuskich” czasów biali panowie załatwiali takie wstydlive sprawy bez udziału ludzi „kolorowych”.

Zdjęcia autora i arch. „ŚWIATA”



Gen. Nhek Tiou-long i w-min. Ta-Quang-Buu w chwili podpisania układu w Genewie



Król Norodom wyzwolenie usiłuje przypisać opatrności, Buddzie lub sobie samemu.



SERCU NA RATUNEK

14

PAŹDZIERNIKA 1954 R. o godzinie 8 minut 5... W tej właśnie minucie wjechał na salę operacyjną Instytutu Gruźlicy przy ulicy Płockiej biały lakierowany wózek, na którym leżała mała dziewczynka o jasnobłond włosach, przewiązanych czerwoną kokardką. Patrzyła na wychudłą twarzyczkę o sinych jak zakrzepła krew usteczkach. Nie wiem nawet jak się nazywa. Inicjały Z. W. Lat 9. To wszystko czego zdołałem się dowiedzieć. No i powód, dla którego się tu znalazła: wrodzona wada serca, tak zwany zespół Fallota. Bez

Poddania się operacji nie przeżyłaby okresu dojrzewania.

Pod sklepieniem jej żeber aorta-jeździec zbiera krew z obu komór serca — zarówno tę utlenioną, która przeszła przez płuca, jak i tę, która obarczona dwutlenkiem węgla, chciała się od niego dopiero uwolnić. Wynik? Niedotlenienie organizmu.

W myślach nazywam ją Zosią.

Mała, jakby trochę senna, zachowuje się zupełnie spokojnie.

— Czy nie uważa pan, że ten spokój jest dziwny? — Pytam mego informatora, doktora Dobrzańskiego.

— To zasługa zastrzyku z morfiny i innych narkotyków — objaśnia szepem doktor Dobrzański.

Powoli sala operacyjna zaczyna się zaludniać. U nóg Zosi pojawił się biały stojak, na którym wiszą szklane zbiorniki napełnione krwią konserwowaną, płynem fizjologicznym, nowokainą. Doktor Dobrzański zakrzętnął się koło chorej. Igła strzykawki wbiła się w nogę Zosi. Znieczulenie miejscowe dla wypreparowania żyły. Do niej właśnie doktor Dobrzański podłącza rurkę gumową zakończoną tępą igłą. Przez cały czas operacji będą do żyły sływały kropelkami wszystkie płyny, które czekają w zbiornikach na stojaku.

Doktor Dobrzański, który skończył właśnie zabieg, wraca do mnie.

— Czy czuje się pan na siłach patrzeć na przebieg operacji? — pyta z powątpiewaniem.

I zaraz dodaje, jakby na usprawiedliwienie:

— Mieliśmy kilka wypadków omdleń, właśnie wśród dziennikarzy.

— Wytrzymam...

Operacja, która się ma odbyć, wymaga ogromnego zespołu lekarzy i nie tylko lekarzy. Operować będzie profesor, doktor medycyny Leon Manteuffel. Asystować będą: doktorzy Gonfa, Nowicki i Warda. Nad podawaniem narkozy i ogólnym stanem pacjenta czuwać będzie lekarz-anestezjolog, wybitny specjalista dr med. Mieczysław Justyna. Pomagać mu będzie w prowadzeniu narkozy i stałych pomiarów ciśnienia krwi i tętna dr Sych.

Mój opiekun dr Dobrzański czuwać będzie nad podawaniem krwi i płynów do organizmu chorego. Dr Maria Waśniewska ma za zadanie odczytywać szyfr elektrokardioskopu, sygnalizującego o pracy serca. Jeszcze dwie siostry-instrumentalistki i dwie osoby personelu pomocniczego.

No i inżynier. Tak! Inżynier Wacław Kujawa, specjalista od całej aparatury elektrycznej. Razem: trzynaście osób.

Naciśnięcie tłoku. Do krwi sływa pentotal. Zosia zasypia. Druga strzykawka: kurara. Znana trucizna, którą Indianie nasycali swoje strzały, tu na sali operacyjnej spełnia zbawienną rolę. Poraża czynności wszystkich mięśni, a głównie oddechowych. Ustają w ten sposób ruchy przeszkadzające chirurgowi w operacji.

Za Zosią oddycha specjalny aparat: spiropulsator.

Napisał
JERZY ŻUKOWSKI

Fotografował
JAN KOSIDOWSKI

SERCU NA RATUNEK

Napisał
JERZY ŻUKOWSKI

Fotografował
JAN KOSIDOWSKI

Doktor Justyna wprowadza do tchawicy dziecka rurę podłączoną do spiropulsatora, który włącza teraz do płuc czysty tlen i odciąga dwutlenek węgla.

Gotowe! Można operować!

Zosia leży na prawym boku. Pod nożem biała skóra rozsuwa się w półksiężycowym łuku, obnażając mięso. Nie widać krwi. To zasługa noża elektrycznego, który przez przypiekanie zamyka naczynia krwionośne, tamując w ten sposób krwawienie.

Zosia śpi spokojnie. Nie czuje nic.

Powoli wloką się operacyjne minuty, rosną w kwadransy, godziny. Już z chrzęstem pod nożycami chirurga padło żebro, broniące dostępu do serca. Do żył dziewczynki splywa kropla po kropli krew ze szklanego zbiornika. Na pomarańczowej tarczy elektrokardioskopu drga świetlny zygzak. Opowiada o sercu operowanej.

Ale nie o niej teraz myślę, lecz o pochylonym nad nią w niewygodnej, męczącej pozycji doktorze Gondzie, którego ręce w gumowych rękawiczkach delikatnie manewrują w polu operacyjnym. Myślę o trudzie chirurga. O tym fizycznym i o tym psychicznym. Oddano mu człowieka, dziecko, z pełnym zaufaniem i powiedziano: spraw, żeby żyło!

I teraz jego palce, pracowite i mądre, czynią wszystko co w ludzkiej mocy, by wrócić rodzicom zdrowe dziecko.

Bładoróżowe płuco porusza się rytmicznie, w takt nadany mu przez spiropulsator.

Chirurg odsuwa je delikatnie i przykrywa tamponem nasyconym solą fizjologiczną. Droga do serca wolna!

Na sali operacyjnej pojawia się profesor Manteuffel, by dokonać najważniejszego zabiegu. Przecina tętnicę podobojczykową i wszywa ją do gałęzi tętnicy płucnej. Dzięki temu część krwi zostanie powtórnie przepuszczona przez płuca i krew wychodząca na obwód wróci się w tlen.

Powoli zabieg dobiega końca. Jest godzina 11 minut 50. Wychodzę na chwilę z sali operacyjnej, a doktor Dobrzański ze mną.

Na korytarzu palimy papierosy i rozmawiamy, naturalnie na temat operacji.

— Długo jeszcze potrwa?

— Trudno przewidzieć... Może godzinę...

— I na dziś koniec?

Doktor Dobrzański kręci przecząco głową.

— Na sąsiedniej sali inny zespół przygotowuje już profesorowi pacjenta do następnej operacji serca.

W kilka dni później odwiedziłem Oddział Chirurgiczny Instytutu Gruźlicy. Ciekaw byłem losów małej pacjentki.

Na korytarzu spotkałem doktora Dobrzańskiego.

— Co nowego?

— Nic. Praca jak zwykle... Może chce pan porozmawiać z Zosią?

— Porozmawiać? — otworzyłem szeroko oczy.

Po chwili znalazłem się na sali. Dziewczynka na nasz widok usiadła na łóżku i uśmiechnęła się.

— To jest ten pan, który był przy twojej operacji — powiedział doktor Dobrzański. — No i ciekawy jest, jak się czujesz.

Pogłaskałem małą po głowie.

— Boli cię jeszcze?

— Już nie — odparła cicho.

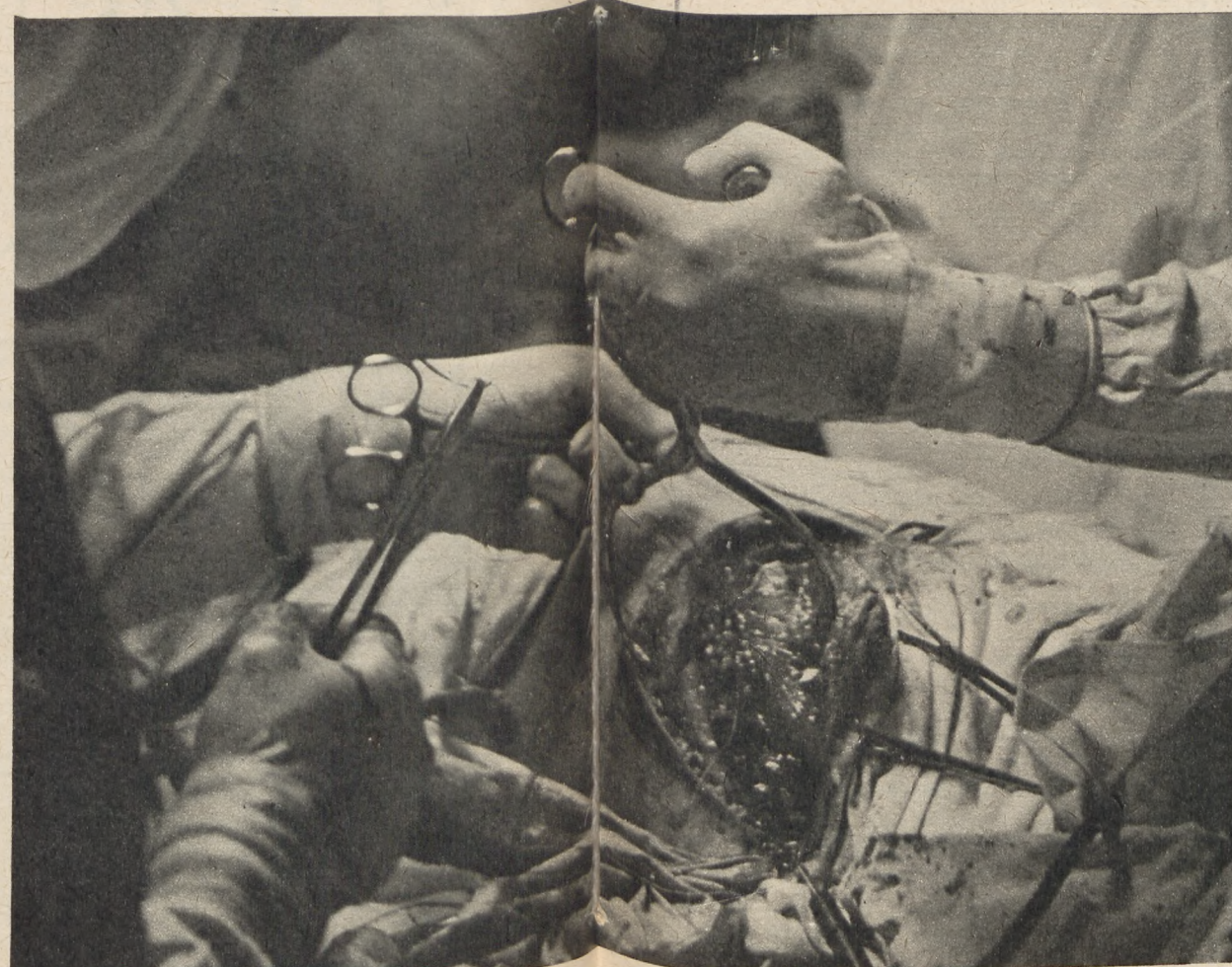
— Do wesela się zagoi — zażartował doktor Dobrzański — a za trzy tygodnie będziesz skakała jak kózka...

Wyszedłem przez bramę na ulicę. Minęło mnie kilku zaafetowanych przechodniów, jezdnią przemknął samochód, a naprzeciwko kilku smyków grało w klipe.

Odwrociłem się i spojrzałem na bramę Instytutu. Tędy wkrótce wyjdzie Zosia.



PROFESOR, DR MED. LEON MANTEUFFEL PODCZAS OPERACJI





...Jeszcze tylko dwa dni... Minęły szybko. Węgierkom naprawiliśmy mały wózek, zdobyliśmy zapasy na drogę...

RÓŻY CZKA

JERZY GRYGOLUNAS

Fot.: A. ŚMIETAŃSKI

25 LIPCA, TRZYNASTEGO DNIA
„KRONIKI PEWNEJ PODRÓŻY“

RÓŻY CZKA nazwaliśmy tę wieś lat temu dzie-
więć i, chociaż inną już nazwę nosi, dla mnie
zawsze pozostanie Różyczką. Leży ona nieda-
leko Kłodzka, w dolinie jak misa szerokiej.
Jest lipiec, rok 1954. Siedzę na czerwonym
murku otaczającym spółdzielcze przedszkole, czekam na
powrót chłopów do domu. Widok mam rozległy, ogród
przedszkola jest najwyższym wzniesieniem wsi. Rzędy
drobnych ludzi pochylają się nad zżętymi kępami
zboża. Kobiety mają na głowach białe chusteczki,
chłopi szare kapelusze, kołyszają różowymi smugami kos.
W przedszkolu bawią się dzieci, lubią one naśladować
rodziców, może dlatego śpiewają: Żytka już zżęta, będzie
chleb... Grabią trawę przed swym widnym domem, na-
klejają wycinanki na ścianach pokoju, zrywają żółte ró-
życzki. Jedną z nich trzymam w palcach. Różyczki ma-
ją wilgotne płatki i słodki, mocny zapach. Wtedy, latem
1945 r., z równym urodzajem pokrywały stoki pagórków
i łąki nad młynem. A ludzie starzy mówią, że kłodzka
różyczka bogato kwitnie tylko w roku, który niesie du-
żo szczęścia.

Czekam teraz na Żuka. Żuk był moim przyjacielem w
wojsku. Dziewięć lat temu brygada koło kamiennego
młyna miała swoje gospodarstwo rolne. Tu z Żukiem
spędziłem pierwszy urlop po wojnie. Mogliśmy zostać w
rokokowych salonach poczdamskiego pałacu Sans Souci,
ale ciągnęła nas nowa ziemia, góry złote w lipcowym
słońcu, nieznane lasy, miasteczka o starych polskich,
później niemieckich nazwach. Czekam na Żuka. Obie-
cywał wtedy, że osiedli się w Różyczce. Gospodarskie
jego oko błyskało namiętnie, gdy patrzył na opuszczone
zagrody, na owocuujące sady, na to całe bogactwo. Rozsi-
kę wspominałem często, ale teraz dopiero znów siedzę
naprzeciwko jej domu, obserwuję okno, w którym mie-
szkała z Aignes. Na ścianach pokoju Rozsiki dzieci na-
klejały wycinanki. Dużo się tu zmieniło, stary murek
ogrodu przysiadł głębiej w ziemi, krzaki róż wspięły się.

Poznałem ją pierwszego dnia przyjazdu na ziemie
kłodzką. Żołnierze z gospodarstwa przywitani nas śpie-
wami i butelką frontowego koniaku. Siedzieliśmy przy
ognisku i piekli barani szaszłyk. Czastuska urwała się,
ale gdzieś z dala, od ostatnich domów, podchodziła inna
muzyka. Była tak cicha, że robiła wrażenie uderzające-
go o liście wiatru. Ktoś grał ukryty w ciemnym oknie
domu.

Stałem przy kamiennym murku. Niemiec Stein, u
którego rano pili mleko, pykał z zagiętej fajki i gła-
dził głowę kilkuletniej Trudy. Dziewczynka zakładała
drewnianej lalce szmaciany berecik. W trawie leżeli
pierwsi osadnicy i wracający z obozu cudzoziemcy. Słu-
chali Liszta, Brahmsa, Szopena. Nic bardziej nie mogło
pogłębić pierwszych radości pokoju niż wielka i mądra
muzyka. Kiedy umilkła, uderzyłem w dłonie. Porwałem
za sobą wszystkich. Wtedy w oknie ukazała się drobna
twarz dziewczyny. Oczy miała wielkie, zielone jak nie-
dojrzałe żołądki. Zerwałem różę i podałem pianistce.
Nachyliła się przez parapet.

— Danke schön...

Dziękowała po niemiecku, gdyż nie знаła języka pol-
skiego, podobnie jak ja nie potrafiłem wymówić nawet
najpiękniejszego słowa węgierskiego: seretlek. Wracała

z obozu koncentracyjnego do Budapesztu. Gruźlica pod-
cinała jej ciało jak turkuć korzeń irysa.

Następnego dnia krążyłem po wiejskiej ulicy, przysta-
wałem w cieniu topoli, szukałem Rozsiki. Ogródek był
pusty. W oknie cerowała spódnice stara Węgierka. Pa-
trzyła podejrzliwie znad drucianych okularów. Poszed-
łem w dół do młyna. Zaczynały się pola róż. Szeroka
ścieżka przechodziła drewnianym mostkiem i ginęła
w drzwiach młyna. Rozsiki nigdzie nie było. Pokłuteł
twarz ostrymi kolcami różyczek, wchodziłem na polan-
ki, między włoskie topole, wysoką, dawno nie koszoną
trawę. Po drugiej stronie wody dzieci skakały przez
kamienie, puszczały na falach „kaczki“, wdrapywały się
na brzeg tamy. Poznałem wśród nich Trudę Steina. Ba-
wily się teraz w wojsko. Maszerowały z patykami opar-
tymi o wątle ramionka i śpiewały piosenkę. Nagle serce
mi nierówno zabiło.

Miedzy różami szła Rozsika. Rozchyliła ręką ostre
gałęzie, nie zwracała uwagi, że kolce rysują białą skórę
ramion, chwytają sukienkę, szarpia rozwiane włosy.
Jakże była mała! Nie sięgała mi nawet do ramienia.
Wczoraj widziałem w oknie tylko jej twarz: oczy, które
się pamięta, nos drobny, zmysłowy, przy nozdrzach zgię-
ty, usta nieruchome. Zawolałem.

— Fraülein Rozsika!

Nie mogła uspokoić oddechu.

— Proszę z nimi coś zrobić. Błagam, niech pan każe
im przestać śpiewać!

Dziewczynki i chłopcy maszerowali przez mostek. Nie
był to krok oddziału idącego do ataku, przypominał ra-
czej żołnierzy na defiladzie, jakiś „parademarsz“ ze
śmiesznie wysoko podnoszonymi nogami. Na przodzie
szła Truda i trąbiła w znaleziony na śmietniku róg kro-
wy, obok przeżył czteroletni piersi małeńki dobosz przy-
brany w porzeczny garniec, bił piastką w dno pomię-
tego kubła, starał się stopy wyrzucać wysoko jak inne
dzieci. Wszyscy nieśli na ramionach wilgotne pręty jaś-
minu. Najkrótszą gałązkę dźwigał dowódca: pewnie wy-
obrażała szabłę. Całe to wojsko ryczało ludową piosenkę
o miodzie, pszczole i pasterzu.

— Dzieci bawią się, panno Rozsiko.

Zakryła uszy.

— Jakże ich nienawidzę!

— Dzieci?

— Dosyć, dosyć! Pan tam był? W obozie? Och, uciec
stąd! Uciec jak najprędzej, gdzie śladu już po nich
nie ma!

Wydawało mi się, że płacze. Kolumna dziecięcego
wojska rozpięzchła się w nieładzie. Przytknęły nosy do
drewnianych żerdzi bariery mostu. Rozmawialiśmy po
niemiecku, więc nas zrozumiały. Stały wyłknięte,
opuściły patyki do wody, prąd nimi zawirował i poniósł
w kamienne tamy. Krzyknąłem.

— Dzieci, idźcie bawić się gdzie indziej. Pani jest
chora.

Uciekły za stary młyn. Oczy Rozsiki powoli uspokajały
się. Długo czekałem na pierwsze słowa. Niespodziewanie
zapytała.

— To pan podał mi wczoraj różę?

— Dużo ich tutaj rośnie.

Paczków staje się małeńki jak pudełko zapalek. Nieką
baszty i wieże tego naszego Carcassonne, przez chwilę
widać je jeszcze zawieszane ponad czubkami przydroż-
nych drzew, a później zataplają się w błękie i zieleni
jak maszty tonącego okrętu. Przed nami góry. Samo-
chód pnie się asfaltową szosą, mijają wielkie wsie scho-
dzące w niskie dolinki, zbliża się do Czechosłowacji.
Smieszne, ale ten stary klasztor o złotych hełmach
jest już poza granicą. Kozy i owce skubią trawę. Po-
zdrawia nas chłop z butelką mleka na kiju. Cały dzień
chodzi ze swą małą trzódka, a jak mu się pić zachce
pociąga z tej „cysterny“. Wzdłuż szosy prowadzi pasmo
zoraną ziemi. Cóż teraz, w lipcu, będą tu ślać? Ach,
prawda: to właśnie jest granica. Na szczytach stoją
drewniane budki WOP-u. Kilka metrów dzieli nas od
Czechosłowacji. Wodospad różowej od słońca wody
pada na ciężkie kamienie. Dziewczyna zsiada z roweru,
kłęka na brzegu, rzeźwi spieczoną usta. Teraz opada-
my w dół, ku dolinie. Pozostają za nami drwale
z wzniesionymi do cięcia siekierami, małeńka wieś pod
stromym urwiskiem, Złoty Stok i granica. Jeszcze go-
dzina drogi i wyrośnie z łąk, pól i lasów wyspa starego
Kłodzka: miasta najpiękniejszych w kraju zaułków,
domów o ścianach pokrytych patyną wielu stuleci,
tynkach barwy różu i zieleni, miasta renesansowych
kamienic, turystów, malarzy i miniaturowe praskiego
Karłowego Mostu. Czuję ogarniający mnie niepokój,
drżenie jak przed egzaminem. Liczę zakręty. Znam
dobrze tę drogę. Znaczą ją żółte różyczki. Tak, to
tu! Pamiętam! Wąska droga prowadzi przez łąki,
sięga rzeczek, nieknie w drzewach kamiennego młyna.

— Jest podanie ludowe, że kwitną na dobrą wróżbę.

Popołudnie spędziłem na pisanii listów, grze w kar-
ty z Żukiem i zwiedzaniu gospodarstw Różyczki. Osied-
leńców było już sporo. Ruch na szosie przypominał wa-
hadło zegara. Podróżowano wozami na wschód i zachód.
Dolina rozbrzmiewała śpiewem — Włochów, Francuzów,
Czechów, Węgrów, Rosjan, Polaków. Nocami drżały na
polanach ogniki obozowisk. W drugą stronę jechali
Niemcy i nowi gospodarze odzyskanej ziemi, chłopci
z krakowskiego, rzeszowskiego, poznańskiego. Trudno
było się połapać w tym exodusie, kto był szabrowni-
kiem, a kto wędrował w poszukiwaniu przyszłych plon-
ów, dlaczego jedni Francuzi i Włosi wracają do siebie
drogami wiodącymi na wschód, a inni poganiają konie
wozów do granicy Niemiec. Żuk podpisał się sztywnymi
literami na drzwiach chaty, na której dachu wiatr
obrać blaszanego kogucika. A podczas obiadu niespo-
dziewanie powiedział.

— Trzeba naprawić dyszel w wózku Rozsiki. Aignes
chce jechać dalej.

Po południu znów poszedłem nad stary kamienny
młyn. Powietrzem nie przechodził najłżejszy wiatr. Włó-
czyłem się między krzakami. Na małej piaszczystej po-
lance, otoczonej ścianami zieleni, leżała czarna podusz-
ka i stara poplamiona książka: „Faust“ Goethego. Obok
stała piramidka ogryzków po papierówkach. Zdrzem-
nąłem się nad sceną Ogródka Małgorzaty.

Obudziła mnie piosenka.

Ez a szep

Ez a szep,

A ki nekik szeme kek...

Rozsika siedziała przy mojej głowie. Zaśmiewała się.
Trzeci raz widziałem ją w życiu, a zawsze inną. Podała
mi kawalek stłuczonego lusterka. We włosy miałem
powtykane mnóstwo żółtych różyczek. Wyglądałem po-
cieszenie i uroczyście.

— Cóż to znaczy, Rozsiko?

— Jest pan różanym królem.

— A pani monarchistką?

— Jestem różyczką.

— Nie rozumiem.

Rozchyliła żółte płatki kwiatu.

— Bo Rozsika znaczy po węgiersku różyczka.

Powtórzyłem.

— Rozsika znaczy różyczka? To bardzo piękne imię.
A co znaczy piosenka, którą pani śpiewała?

— Proszę zgadnąć.

— Nie wiem.

— Szep: pięknie. Szeme: oczy.

— Kek?

— Niebieskie.

Westchnąłem.

— Nie odgadnę. Ten język niepodobny jest do żadne-
go.

Zaśpiewała raz jeszcze.

— A teraz?

— Niczewo nie ponimaju.

— Pomogę. To dopiero pięknie. To dopiero pięknie
jak kto ma oczy niebieskie...

— Ale przecież ja mam oczy czarne!

To ją na dobre rozbawiło.

— Zaledwie dwa razy dał mi pan kwiaty, a...

Sprostowałem.

Nawet nie dwa, ale raz, wczoraj. Po koncercie.

Pogroziła mi palcem.

— A dzisiaj rano?

— To nie ja.

— Aignes mówiła, że jakiś żołnierz położył je o świ-
cie na moim oknie.

To chyba była zazdrość. Może dlatego poprosiłem.

— A jednak, Różycko, zaśpiewaj o czarnych oczach.

Ez a szep

Ez a szep

A ki nekik szeme feketé...

Przy ostatnich słowach zaczęła kaszleć. Atak pochwycił jej drobne ciało. Głowę wtuliła w ramion, przygarbiła plecy, długie palce zacisnęła na piersi. Posmutniała.

— Późno jest, panno Rozsiko. Trzeba wracać do domu.

Patrzyła jak słońce zachodzi. Nad samą ziemią leżała złota smuga powietrza. Tam, gdzie lekka czerwien przechodziła w seledyn, liście i płatki zawieszane u szczytu krzewów miały niepokojący rysunek. Rozsika oparła głowę na dłoni.

— W muzyce można zarówno świat najpełniej wyrazić jak...

— Jak co?

— Jak wszystkie miłości i nienawiści człowieka.

Zapytałem.

— Czy bardzo nienawidzisz?

Odwróciła brwi barwy dzikiej jagody.

— Znam tylko dwa uczucia: miłości i nienawiści!

W nocy padał deszcz, ale było duszno. Nie mogłem spać i wyszedłem na ganek. Łóżko Żuka też stało puste. Tylko szary kot rozciągnął się na jego pierzynie. Usiadłem pod wąskim okapem i słuchałem pukania ciepłych kropelek. Nagle, podobnie jak pierwszego dnia mego pobytu w Różyccze, powietrze napelniła muzyka.

Myślałem o Rozsice w Budapeszcie: na górze Gaelerta jest mała kawiarenka. Dzień powoli odchodził, a leżące w dole miasto wygląda jakby płynęło na szeroka pusztę. Na Dunaju stoi statek wycieczkowy. Ludzie z mostu rzucają kolorowe papierki. W kawiarence na górze Gaelerta gra cygańska orkiestra. Po kamiennych schodkach wchodzi Rozsika. Twarz jej jest opalona i uśmiechnięta. Policzki są pełne ciała, a gdy dziewczyna się śmieje, robią się jeszcze bardziej okrągłe, podobne do smagłych baloników. Znowy nowy obraz: Rozsika gra. Sala koncertowa pełna ludzi. Dzieci wnoszą na scenę wielki kosz kwiatów. Uśmiechnąłem się: jakże Rozsika jest drobna, mała jak ptaszek, niewiele większa niż róża. Wieczorem bankiet na jej cześć w romańskiej kawiarence pod Św. Isztvanem.

Deszcz przestał padać. Muzyka ciągle nie milkła. Uderzenia palców dziewczyny były miękkie jak łapki kota. Nie mogło stać się inaczej: Rozsika wróci do Budapesztu, miasto jej ocalało, są w nim dobre szpitale. Lekarze wyleczą ciężką chorobę. Żyją jej ciotki i babka. Rozsika skończy konserwatorium i zostanie znaną pianistką. Zszedłem z ganku w ciepłe kałuże. Było ciemno. Jak niewidomego prowadziły mnie tylko dźwięki. Nagle błysnęło światło. W oknie, jak na ekranie, zjawiła się postać starej Aignes. Wzięła w rękę benzynowego kopciuszka i jak furia biegła do drugiego pokoju. Rozsika w nocy powinna spać! Stałem tuż, tuż. Lecz nie sam. W ogródku przy oknie kryła się postać mężczyzny. Wystraszyło go światło kopciuszka. Usunął się w mrok, w stronę róż i kamiennego murku. Zapalał machorkę. To był Żuk! Chciałem go zawołać, ale w porę się powstrzymałem. Przychodził tu w tajemnicy przed wszystkimi, nawet przed Rozsiką. Pozwoliłem mu odejść. Teraz ja stawałem przy oknie. Aignes zostawiła płonący kopciuszek i wróciła do łóżka. Na parapecie leżał bukiet żółtych różyczek. Nie zdążyłem się już wycofać. Rozsika zauważyła mnie i kwiaty prawie jednocześnie.

— A jednak to pan przynosi je codziennie.

Trudno mi było wymówić:

— Nie, to nie ja. To Żuk!

— Nie znam. Kto to jest Żuk?

— Mój kolega z wojska.

Wąchała bukiet. Wiedziałem, że ciągle nie wierzy. Nawet wtedy, gdy przekornie powiedziała.

— Proszę ode mnie pocałować tego Żuka.

Potem zniknęła w ciemnych drzwiach drugiego pokoju.

Do południa parne słońce wysuszyło łąki i pola. Poszedłem nad stary młyn. Rozsika siedziała na skraju ogrodu róż, nad kamienną tamą rzeczki. Powitała mnie zaczepnie.

— Dokąd to idziesz Lengyel elvtars?

— Na lekcję.

— Czego chcesz się nauczyć batoros honve'd?

— Słów, które są niepodobne do żadnych na świecie.

— Na co ci to?

— Aby móc ciebie rozumieć, Rozsiko.

— Słuchaj więc: a Lengyel honve'd ez az elvtarsom. Powtórz.

— Zbyt trudne.

— Żołnierz Polak jest moim towarzyszem. Elvtars: towarzysz! Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Nemeth ez nem a baratom: Niemiec nie jest moim towarzyszem!

Uparcie powracała do tego tematu. Podkuliła nogi i kołysała się wolno.

— Cieszę się, że jadę do domu.

Sam nie wiem czemu powiedziałem.

— Przekwitają różyczki.

Patrzyła na żółte kwiaty.

— Ach, Szigliget! Co słyszałeś o Szigliget?

— Nic.

— Trochę tam podobnie jak tu: wzgórza łagodne, białe chaty wsi. Po ścianach domów pną się różyczki. Dużo

ich jest: kwitną wokół okien, nad drzwiami, na dachach. I wszystkie są czerwone. Tam mieszka moja babka. Pojadę do Szigliget!

Nad rzeczka przybiegły dzieci: Hans, Franz i Truda. Usiadły na kamiennej tamie i udawały, że łowią ryby. Rozsikę złamał atak kaszlu. Ścisnęła mój łokieć. Myślałem, że każe wypłoszyć dzieci. Ale poprosiła:

— Tak mi się strasznie chce pić. Czy nie mógłbyś przynieść trochę mleka?

— Oczywiście, Rozsiko. Nawet cały dzbanuszek.

Mleko miało zapach łąki, a chłód wiejskiej piwnicy. Stapałem ostrożnie, aby nie rozlać ani kropelki. Przeszedłem obok Steinów, którzy grabili siano. Miałem jeszcze minąć topole, młyn i drewniany mostek. Byłem już zupełnie niedaleko, gdy usłyszałem krzyk dzieci. Hans i Franz biegali po mojej stronie rzeczki, wyrzucali ręce ku górze, jakby chcieli pochwycić niebo, przysiadali w trawie na bosych piętach, pochylali głowy nad ukrytą za brzegiem wodą. Szedłem teraz szybko, prawie biegłem, nie zważając, że mleko tańczy w kubku coraz gwałtowniej, oblewa mi dłonie, strzela strugami na twarz i piersi. Rozsika!? Lecz nie: ona też biegła ku rzeczce. Więc Truda! Nagle Rozsika skrzyżowała dłonie na szyi, cofnęła się, zrobiła kilka kroków po łące i skoczyła do młyńskiego zalewu. Płynęła wolno, niezgrabnie rozchylając żółte pole rzęsy. Sukienka i pantofle krepowały ruchy ciała. Oslabła, nim uchwyciła głowę tonącej Trudy. Z pola za młynem słychać było przybliżające się wołanie Steinów. Dziecko i dziewczynę pochwyciłem w momencie, gdy ciała ich zaczęły opadać na dno.

Niemcy lamentowali na drewnianym mostku. Widziałem buty mężczyzny i drewniane saboty kobiet. Podawali mi trzonki grabi. Były za krótkie. Plecy kładłem do tyłu, pracowałem tylko nogami. Czułem jak stopy ślizgają się po podwodnych łożyskach, dotykają twardego przedmiotu. Gęsta woda młynówki sięgała mi ledwie do ramion. Mogłem przejść w bród całą różańską rzeczka. Ale Rozsika była mała. Nawet gdyby stanęła na palcach, usta i nozdrza pozostałyby w wodzie.

W domu pytałem ją.

— Dlaczego skoczyłaś do rzeczki?

Odstawiła gorące mleko.

— Przecież by utonąła!

— Ja bym ją uratował.

Schowała twarz pod pierzynę.

— Nie zdążyłbyś.

Był dopiero trzeci miesiąc pokoju. Dlatego groźba śmierci Rozsiki ciążyła nad całą Różyccą. Żuk sprowadził lekarza z pułku radzieckiej artylerii. Stał on kilkanaście kilometrów dalej. Wieczorem gruby, wesoły doktor pocieszał zapłakaną Aignes.

— Niczewo, mama, wsio budiet choroszo.

Siedział długo. Dokładnie zbadał Rozsikę, dał jej potrzebne zastrzyki, zostawił lekarstwa. Następnego dnia zjawił się już o świcie. Był zadowolony. Mogło być gorzej. Wyszliśmy razem na obrósłe różami podwórze. Doktor kręcił nosem.

— A, pachnie tu! Jak ta wieś się nazywa?

Żuk powiedział.

— Różycka.

— Różycka? Dlatego, że tyle ich tutaj rośnie?

— Dlatego też... Ale właściwie na pamięć Rozsiki. Wiecie... za to jej...

Gardło miał zaciśnięte. Doktor skrzywił wesołą twarz.

— Każdy by tak zrobił.

— Ale ona narażała życie!

— A ty na froncie nie narażałeś?

— Ale teraz jest pokój.

— Et, durak!

Odpiał skózaną torbę.

— Daj to swojej Różyccze.

Żuk trzymał dwie puszki soku pomarańczowego. Przestępował z nogi na nogę i jękał się.

— Dziekuję... Towarisch kapitan... Spasibo.

Doktor trzasnął go po ramieniu.

— Zupełny durak.

Ciesz się, że będzie żyła. Można ją jeszcze wyleczyć. Niech wraca tylko już do Budapesztu.

Potem odpocznie na wsi i jeszcze z tobą będzie miała dzieciaki!

Żuk rozdziawił usta.

— Dlaczego ze mną?

— No, to nie z tobą! Wpieriod Grizska!

Dopiero gdy samochód zatoczył się za mur kościoła, Żuk przeknął ślinę.

— Fajny dziadźka!

Aignes gotowała kurę. Nie mogła się nadziwić skąd mamy pomarańcze. A potem powiedziała.

— Odkąd tu przyjechaliście Żuk codziennie znosi dla Rozsiki masło, jaja, śmietanę, mleko i kury. Prosił mnie tylko, bym nic nie mówiła, kochany gyerek!

Czułem ból w dłoniach. Paznokcie wcięły się w skórę. Gorąco podchodziło pod oczy. Jakże mogłem tego wcześniej nie zrozumieć. Mała i samolubna była moja przyjaźń. Do dziewczyny czy do muzyki? Wybiegłem na ogród.

Jeszcze tylko dwa dni była Rozsika w Różyccze. Minęły bardzo szybko, jak wszystko co się już kończy. Naprawiliśmy mały wózek Węgerek, zdobyliśmy zapasy na drogę. Szef odpalił z gospodarstwa brygady małą beczułkę masła, Stein przyniósł konfitury i świeże owoce. Przyszedł dzień wyjazdu, a właściwie dwóch wyjazdów. Rodzina Steinów po wiekach wracała do zielonego od drzew Bernau. Rano Rozsika grała jeszcze Szopena i ludowe tańce węgierskie. Później odprowadziliśmy ją całą kompanią, ja i Żuk najdłużej, aż na asfaltową szosę. Wózek Rozsiki był coraz mniejszy, stał się drobnym punkcikiem, w końcu zniknął nam na zakręcie. Powiedziałem do Żuka.

— Pojechała do Szigliget.

Starszy o dziewięć lat zeskakuje z kamiennego murku. Pies szczeka. Z pól wracają gospodarze. Wypatruję Żuka. Co zrobię, jeżeli wtedy tylko obiecywał zamieszkać w Różyccze? Chcę wyjść na drogę, ale słyszę płacz dziecka.

— Oddaj mi mój patycek.

Za krzakiem róż drobna dziewczynka kryje oczy opalonymi rączkami. Ma szarą lnianą sukienkę i białe płócienne pantofelki. Obok dwóch chłopców rysuje na ziemi patykami kółka i kwadraty. Są to dzieci z przedszkola. Niespodziewanie staje nad nimi. Dziewczynka zza palców wychyla twarzyczkę. Ma oczy jak niedojrzałe żółędzie. A może mi się tylko tak wydaje? Skarzy się.

— To Żuk zabrał mi mój patycek.

A więc jednak osiedlił się! Pociagam jego syna za wielkie ucho. W rękę trzymam jeszcze kłódką różyczkę. Uśmiecham się do dziewczynki.

— Dam tobie ładniejszy patyczek. Patrz: kwitnącą żółtą rozsikę. Chcesz?

Wyciągnęła rączkę.

Kłódzko — miasto renesansowych kamienic i miniatury praskiego Karłowego Mostu.



LEW MA LAT TRZYDZIEŚCI



„Kobieta do zgładzenia” — typowa amerykańska szmira. Wersja francuska. Rynki trzeba zdobywać na siłę...

Filmy pełne „gwiazd” — oto główne hasło MGM z lat 30-tych. Greta Garbo i J. Barrymore w „Grand-Hotelu”



Rzeczy „ogromne i największe” pod względem wystawy, puste w treści, działające przy pomocy tanich efektów, jak np. „The Great Ziegfeld” — to okres Mayera w MGM.



RYCZACY lew — to znak fabryczny jednej z największych amerykańskich wytwórni filmowych, Metro-Goldwyn-Mayer, oznaczanej w skrócie M-G-M. Wytwórnia ta należy do słynnej „Wielkiej Piątki” amerykańskich trustów filmowych wraz z wytwórniami Warners, Paramount, 20-th Century Fox i RKO. Tych pięć trustów od szeregu lat decyduje niepodzielnie o losach filmu w Stanach Zjednoczonych, w ich rękę skupia się cała prawie produkcja i obrót filmami w Ameryce. Nieliczne pomniejsze, tzw. niezależne wytwórnie, i producenci mogą oczywiście od czasu do czasu wyprodukować film, mogą nawet, jak niezależny producent Chaplin, tworzyć arcydzieła, ale o przemyśle filmowym, o wielkim królestwie celuloideu decyduje „Big Five” — „Wielka Piątka”.

17 maja 1954 Metro-Goldwyn-Mayer obchodził trzydziestą rocznicę swego istnienia. Rocznicą ta celebrowana była przez wytwórnię uroczystości. Odbyły się festiwale i pokazy, przyjęcia i bankiety, wygłoszono przemówienia, a szef wytwórni, Dore Schary, stwierdził, iż „dumny jest, że uczestniczy w organizacji, która dała tak wielki wkład do rozwoju sztuki filmowej”.

Dore Schary jest trzecim z kolei kierownikiem wytwórni. Gdy w roku 1924 powstawało M-G-M z połączenia trzech wytwórni — Metro Co., Goldwyn Pictures i Mayer Production, na czele M-G-M stanął weteran amerykańskiego przemysłu filmowego, Louis B. Mayer, zastępcą zaś jego do spraw produkcji został niejaki Irving Thalberg. Samuel Goldwyn, założyciel wytwórni Goldwyn Pictures, usunął się od osobistego udziału w przedsiębiorstwie. Mayer, kierujący oficjalnie trustem, nie wywierał w tym pierwszym okresie zasadniczego wpływu na produkcję, wszystkie zaś sprawy z nią związane znalazły się w rękach Irvinga Thalberga.

Początek rządów Thalberga przypadł na okres zasadniczych zmian w filmie amerykańskim. Kończyły się czasy, kiedy o rozwoju kina w USA decydowali reżyserzy, wnosząc doń nowe dzieła sztuki i w ten sposób wyznaczając jego drogę. Na plan pierwszy wysuwać się zaczęła przemysłowa organizacja, wielki aparat produkcyjno-kapitalistyczny i do głosu dochodzić zaczęli ludzie nie mający wprawdzie nic wspólnego ze sztuką, ale za to świetnie znający się na interesach. Do takich należał Thalberg.

Kariera jego to „przykładowy życiorys amerykańskiego businessmana” taki, jaki spotyka się w umoralniających opowiadaniach „jak zostać milionerem”. Urodzony w r. 1889 zaczyna jako chłopiec na posyłki w wytwórni Universal, kolejno zostaje sekretarzem prezesa spółki Carla Leammle, następnie zaś generalnym dyrektorem wytwórni. Wchodzi w spółkę z Mayerem i przez dwanaście lat kieruje pracami M-G-M. Umiera młodo, w wieku lat trzydziestu siedmiu. Z licznych relacji o nim możemy sobie odtworzyć jego obraz jako człowieka cichego, pozbawionego szczególnych cech twórczych, lecz umiającego ocenić i wykorzystać twórczość innych, rzutkiego i uzdolnionego w sprawach organizacyjnych. Ten typ kapitalisty, właściwy dla wczesnego, ekspansywnego monopolizmu, wyziera również z poczyną Thalberga jako producenta. W okresie jego rządów w M-G-M dookoła wytwórni skupiała się czołowi ówczesni reżyserzy amerykańscy — King Vidor, Seastrom, Lang, Lubitsch i Erich von Stroheim.

RZECZY „OGROMNE” I „NAJWIĘKSZE”

Thalberg ma gest — nie krępuje się kredytami, gdy wietrzy w filmie sensację, lubi rozmach produkcyjny, nie boli się nawet ryzyka, widząc w nim nieodłączny składnik interesu. Lubi decydować śmiało i samodzielnie. Dlatego też za jego rządów powstać mogły jedne z lepszych filmów amerykańskich, takie jak „Wielka Parada” Kinga Vidora czy „Tłum” tego samego reżysera. Rozmach Thalberga prowadził jednak nie tylko w tym kierunku. Pod jego opieką rodził się styl, który stanie się w oczach odbiorcy synonimem Metro-Goldwyn-Mayer: powstają „wielkie” filmy, realizowane niesamowitym nakładem środków, których jedynym atutem jest „wystawa”. Dorobkiewicz Thalberg tak jak i dorobkiewiczowski

monopolizm amerykański kocha się w przepychu, w rzeczach „największych”, „ogromnych” pod względem produkcyjnym. Powstaje więc typ wielkiego filmu rewiowego, który zatrzymuje w parę lat później, rodzą się załączki obecnych, zwyrodniałych w treści i formie „największych na świecie obrazów”.

Rzecz jasna, jednym z głównych zmartwień Thalberga jest „star system” — stwarzanie wielkich „gwiazd” ekranu, reżyserowanie ich kariery. Thalberg, sam ożeniony z aktorką Normą Shearer, robi z niej wielką gwiazdę, podobnie winduje on nazwiska Joan Crawford, Jean Harlow, Clarka Gable i Johna Barrymore, popiera również naprawdę uzdolnioną wielką gwiazdę M-G-M — Gretę Garbo.

Dzięki „gwiazdom”, dzięki rozmachowi produkcyjnemu czyni Thalberg z M-G-M potęgę przemysłową. Ostatnie jednak chwile jego życia upływają pod znakiem porażki. Thalberg sam daje temu wyraz w smętnych refleksjach. Gilbert Seldes w książce „The Great Audience” pisze: „Na rok przed śmiercią Thalberg począł w prywatnych rozmowach dawać wyraz niezadowoleniu ze stworzonego przez siebie systemu i szukał rozpaczliwie dróg wyjścia. „Muszę się liczyć z interesem przedsiębiorstwa — mówił Thalberg. — Jeśli ktoś przynosi mi scenariusz, w którym są dobre charaktery i dialogi, ale nie jest to komedia, każe mu przerobić scenariusz na komedię i mam nadzieję w Bogu, że autor nie popsuje przy tym charakterów. Wiem, że autorzy tego nie lubią. Ja też nie lubię. Ale coż mam robić?” W tym zdaniu — komentuje Seldes — zawiera się istota podejścia Thalberga do produkcji filmowej; był on, być może, zbyt młody, aby pogodzić się bez walki ze wszystkimi wymogami, jakie narzuciła mu wielka wytwórnia, którą stało się M-G-M... Ze wzruszeniem wspominał czasy, gdy mógł robić kilka filmów rocznie, bez żadnych przymusów, mając wolną rękę”.

ABY INTERES SZEDŁ...

Obejmujący po Thalbergu kierownictwo wytwórni Louis B. Mayer wolny był już od skrupułów swego współpracownika. Mniej zastanawiał się nad sztuką, więcej — nad organizacją. M-G-M jako instytucja przemysłowa wzrasta w potęgę. Otwiera się filia wytwórni w Wielkiej Brytanii, powstają filmy obliczone na pokup, na interes.

„Rozrywka — to całkowicie wystarcza i wam, i mnie, i interesowi” — wykrzykuje Mayer i według tej maksymy ustawia swoją produkcję. W ten sposób w okresie Mayera powstają wielkie filmy rewiowo-rozrywkowe, takie jak „The Great Ziegfeld” czy „Broadway Melody”, a obok nich filmy drobniejsze, mniej efektowne pod względem wystawy, ale za to w sposób w miarę bezmyślny i łatwy apelujące do „uczuć zwykłego Amerykanina”. Mayer oprócz tradycyjnego przepychu lansuje również mniejsze, bardziej kameralne tematy, w których daje ujście swoim własnym gustom. W jego filmach, zarówno muzycznych, w których pod jego patronatem pojawia się nowy typ mniej wystawny, bardziej związany z codziennym życiem, jak i w filmach obyczajowych, powstaje sentymentalny, nieskomplikowany, nacechowany niewybrednym humorem obraz przeciętnego amerykańskiego życia. Pod opieką Mayera rodzi się więc ten najbardziej rozpowszechniony, seryjny i bezmyślny model filmu amerykańskiego, który pod pozorem idealizacji życia codziennego oducza od

Dokończenie na str. 20

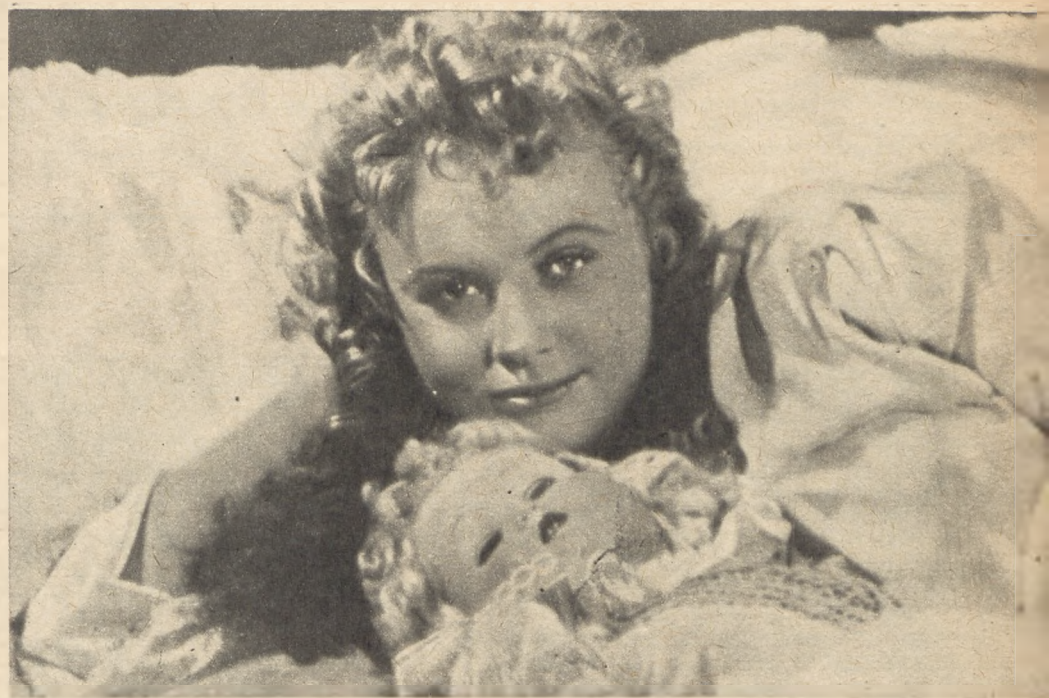
Szekspirowski Juliusz Cezar w interpretacji MGM. „Rekwizyt” na barkach „Rzymianina” — to autentyczny koń — wypatroszony i wypchany trocinami



SZTUKA, KTÓRA TRAFIŁA DO SUMIEŃ LUDZKICH



Niezapomniany „Upadek Berlina” — film, który oglądały miliony widzów na całym świecie. Przez okrągłe dwa lata gwarantował frekwencję kinom Anglii i Belgii.



Naprawdę urocza jest ta „Królowa balu” — znakomita aktorka radziecka Larionowa w filmie reżyserii Annienskiego wg znanego opowiadania Czechowa „Anna na szyi”.

Sekwencja schodów odesskich w filmie „Pancernik Potiomkin”. Arcydzielo Eisensteina wstrząsnęło światem.



W WIELKIM hallu „Soweksportfilmu” w Moskwie umieszczono dużych rozmiarów mapę świata. Na mapie tej z Moskwy wybiegają długie proste linie zmierzające do stolic 50 krajów na całym świecie. W owych 50 krajach, które utrzymują ze Związkiem Radzieckim handlową wymianę filmową, około pół miliarda widzów ogląda każdego roku filmy radzieckie.

Jakkolwiek w wielu krajach kapitalistycznych import filmów radzieckich jest po dziś dzień oficjalnie wzbroniony, a w wielu innych, choć wymiana teoretycznie istnieje, w praktyce radzieckie filmy napotykają tysiące przeszkód w rozpowszechnianiu — film radziecki zdobywa nie tylko miliony widzów na całym świecie, ale i wyobraźnię twórców, reżyserów i scenarzystów filmowych.

Kiedy wiosną 1923 na ekranach kin francuskich i niemieckich pojawił się pierwszy radziecki film poza granicami ZSRR — „Polikuszka” reżysera Sanina (według opowieści L. Tolstoja), prasa francuska i niemiecka pisała o „nowej erze kinematografu”. Mówiono o realizmie „pełnym nieoczekiwanego bogactwa i pulsującej prawdziwością”. „Polikuszka” była początkiem. Po niej pojawiły się na ekranach europejskich „Czerwone diabły” Pierestianiego, „Kolegialny rejestrator” Żelabuzkiego, „Dura lex” Kuleszowa, „Strajk” Eisensteina i inne.

6 NAJBARDZIEJ WSTRZĄSAJĄCYCH MINUT W HISTORII KINA

Powodzenie filmów radzieckich skłoniło w latach 1924—1926 producentów amerykańskich do realizowania filmów „rosyjskich”, które fabułą, a nawet tytułami usiłowały naśladować wzory radzieckie.

Te nieudolne próby naśladownictwa zawiodły, natomiast zupełnie nie notowane w historii filmu powodzenie i entuzjazm wywołało w krajach Europy i Ameryki arcydzieło Sergiusza Eisensteina „Pancernik Potiomkin”.

Uroczysty pokaz tego filmu odbył się 21 listopada roku 1925 w Wielkim Teatrze w Moskwie, a już w roku 1927 „Pancernik Potiomkin” wyświetlany był w 38 krajach. Rok przedtem w USA uznano go za najlepszy film roku, a na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu (1927) „Pancernik Potiomkin” otrzymał najwyższą nagrodę — Wielki Złoty Medal.

Warto przytoczyć dla przykładu niektóre opinie prasy berlińskiej, zamieszczone po premierze filmu Eisensteina.

„Berliner Börsen-Zeitung”, organ wielkich banków, napisał, iż było to „wydarzenie wstrząsającej doniosłości w kinematografii”.

Tygodnik „Der Montag am Morgen”: „W historii kinematografii i nawet w historii teatru nie ma niczego, co można by postawić obok tego przedstawienia”.

Mieszczański dziennik „Berliner Tageblatt”: „Nikt, komu dostępne są uczucia ludzkie, nie czuł wczoraj, że znajduje się w kinoteatrze. Zdawało się nam, że widzimy coś z gruntu nowego, coś niedostępnego dotąd twórczości, coś absolutnie prawdziwego i wielkiego”.

W jednym z największych kin na Broadway’u w Nowym Jorku „Pancernik Potiomkin” wyświetlano bez przerwy przez 4 miesiące, choć wyświetlano go w wersji okaleczonej przez cenzurę. Charlie Chaplin powiedział: „Jest to najlepszy film na świecie”.

Po pierwszym pokazie „Pancernika Potiomkina” w paryskim kinie „Artistic” Georges Charensol, krytyk mieszczańskich „Les Nouvelles Litteraires”, pisał: „Zwarty, gwałtowny, skoncentrowany „Potiomkin” wstrząsnął widzami, którzy uczestniczyli w tym pamiętnym spektaklu w „Artisticu”. Wrażenie było tak silne, że wyrażenie naszego entuzjazmu wydało się nam początkowo zupełnie niemożliwe”.

I jeszcze opinia znanego krytyka angielskiego Rogera Manvella, zawarta w jego książce „Film”: „Jest niemożliwym zapomnieć... nade wszystko sekwencję schodów odesskich z „Potiomkina”, która jest klasyczną sekwencją kina i stanowi prawdopodobnie 6 najbardziej wstrząsających minut w historii kina”.

TWÓRCZY CZYNNIK ROZWOJU

„Pancernik Potiomkin” w czasie swego tryumfalnego rejsu po ekranach świata wywoływał nie tylko zachwyt milionów widzów. Jego działanie było daleko silniejsze. W roku 1930 na holenderskim okręcie wojennym „De zeven Provinciën” wybuchł bunt marynarzy. Kilku oficerów wrzucono do morza. Gdy bunt stłumiono, śledztwo wykazało, iż marynarze holenderscy na krótko przed wybuchem powstania oglądali film „Pancernik Potiomkin”.

Nie tedy dziwnego, iż tak potężny w działaniu film budził także grozę i nienawiść wśród reakcyjnych kół krajów kapitalistycznych. Obok przeszkód stawianych przez cenzurę, zdarzały się także wypadki demolowania przez płatne bojówki kin wyświetlających film Eisensteina.

Sukces i wpływ „Pancernika Potiomkina” był wszędzie szczególnie wielki, nie był jednak czymś wyjątkowym. W okresie filmu niemego podobnym powodzeniem cieszyły się: „Matka” i „Burza nad Azją” Pudowkina, „Arsenal”, a zwłaszcza „Ziemia” Dowżenki.

Niemniejsze powodzenie zdobyły i utrzymują filmy dźwiękowe. Od „Bezdomnych” Ekka, poprzez „Czapaiewa” Wasiliewych („Arcydzieło kinematografii światowej” — pisał o tym filmie daleki od sympatii proradzieckich „New York Times”), „Aleksandra Newskiego” Eisensteina do „Upadku Berlina” Czajurego — (przez dwa lata wypełniał sale kin w Anglii i Belgii) czy „Odzyskanego szczęścia” Pudowkina — filmy radzieckie działały na świadomość i uczucia milionów ludzi na całym świecie i, co nie mniej ważne, wywierają silny wpływ na twórców filmowych w różnych krajach.

Można bez najmniejszej przesady powiedzieć, iż do historii kinematografii film radziecki wchodzi nie tylko jako jeden ze składników, ale i jako czynnik rozwoju.

Najwyższe dziś osiągnięcie sztuki filmowej, włoski film realizistyczny, zawdzięcza wiele filmowi radzieckiemu.

Dokończenie na str. 20

IE PRZYPUSZCZAŁA nigdy mała osada Megareńczyków, założona na zboczach Bosforu Trackiego, że w swej karierze zmieni tylu właścicieli i że imię jej ulegnie takim przemianom.

Obecny Istambuł, lub Stambuł, najpierw zwał się Bizancjum, i tę grecką nazwę szanowali nawet Persowie, kiedy miasto należało do nich w VI w. przed naszą erą. W r. 196 Rzymianie miasto zburzyli. Konstantyn Wielki przyjąwszy chrześcijaństwo, nazwał Bizancjum Konstantynopolem i przeniósł tam w r. 330 stolicę imperium.

Dzięki swemu niezwykle korzystnemu położeniu geograficznemu Konstantynopol zrobił wielką karierę handlową i stał się, według słów Marksa, „złotym mostem pomiędzy Wschodem i Zachodem”. W Polsce i na Rusi nazywano go raczej Carogrodem. Ten wspaniały ośrodek kulturalny, polityczny i handlowy stracił swoje znaczenie po roku 1204, kiedy ówczesna armia europejska w okresie IV wyprawy krzyżowej doszczętnie złupiła i ograbiła miasto. Dalszy etap w historii miasta to zdobycie go przez sultana Mahometa II w r. 1453. Ta data została później przez historyków uznana jako kończąca wieki średnie, a miasto stało się stolicą Imperium Otomańskiego. Otrzymało wówczas nową nazwę Stambuł, która oficjalnie obowiązuje właściwie dopiero od czasów Atatürka. Najbardziej jednak popularna na świecie była nazwa Konstantynopol, z którą wiązało się wiele anegdot, piosenek, historyjek.

Dawniej Istambuł był, że zacytuje jeszcze raz Marksa, „głównym ośrodkiem rozkoszy i nędzy na całym Wschodzie i Zachodzie”, i takim go raczej znamy z opisów, fotografii, opowiadań. Jak jest dziś — zobaczymy.

Oczywiście, najpierw pędzę do Aya Sofii, ale jestem trochę rozczarowany. Na podstawie widoczków wyobrażałem sobie, że jest o wiele większa niż się okazuje w rzeczywistości i że wewnątrz ma o wiele wspanialsze. Jest to zresztą pomyłka, którą robi się dość często, znając jakąś budowlę z reprodukcji, myli się w wyobraźni jej skalę i proporcje, nie znając jej położenia, oświetlenia.

Architekt z VI wieku dobrze się zastanowił, zanim rozpoczął budowę. Świątynia położona jest wspaniale na wzgórzu, nad Bosforem, góruje nad całą okolicą i jest widoczna z daleka. Wybudowana jako bazylika katolicka św. Zofii, po zdobyciu miasta przez Turków została przebudowana na meczet.

Obecnie jest tam muzeum, ale bardzo podle urządzone. Aya Sofia jest dziś obrazem opuszczenia i zaniedbania. Snujące się grupki zwiedzających nie mogą oglądać wspaniałych sklepień i starych bizantyjskich mozaik w należyтым skupieniu, bez przerwy bowiem muszą uważać, by nie wpaść do wykopanych pod zdjętą posadzką dołów. Co prawda i tam — po upadku — podziwiać można stare fundamenty, ale chętnych jest niewiele...

Otoczenie Aya Sofii stanowią nie uporządkowane architektonicznie place, stare, walące się domeczki mieszkalne i mnóstwo śmieci porzucanych wszędzie i w wielkich ilościach. Tą — mało fascynującą — drogą docieram do pobliskiego meczetu sultana Achmeda. Meczet ten, zbudowany w XVII wieku, posiada sześć minaretów, czyli o dwa więcej niż Aya Sofia i po dzień dzisiejszy służy jako świątynia. Przy wejściu należy zdjąć obuwie albo włożyć na bu-

ty papucie, takie jak w warszawskim Muzeum Narodowym. Cudzoziemcy wkładają papucie, Turcy zzuwają obuwie.

Wnętrze tego utrzymanego w błękitnym tonie meczetu wysłane jest wspaniałymi dywanami, całość utrzymana w porządku, zagospodarowana. Nie jest to co prawda godzina modlitwy, ale modlących się jest wielu. Siedzą na piętach z twarzą zwróconą ku wschodowi. Nastrój pełen skupienia i powagi. Przy wyjściu zostają zaatakowani przez

liczne desze przekupniów, którzy dość natrętnie oferują mi niegustowne pamiatki, gumę do żucia lub klipsy do uszu w kształcie rumianków. Gumi nie lubię, w klipsach rumiankowych mi nie do twarzy, kupuję więc plan Istambułu i obydwie strony są zadowolone: sprzedawca, że mnie „kiwnął” na kilkanaście kurusów, licząc za plan drożej, ja — że mam już drugi plan Istambułu, inny niż poprzednio kupiony, a bardzo lubię mieć plany miast.

Zmęczeni upałem, postanawiamy po obiedzie pojechać na plażę. Rzadko które miasto posiada taką ilość wody w sąsiedztwie. Bosfor, Złoty Róg, Marmara są widoczne na zmianę ze wszystkich punktów miasta, ciągle

Pisał i rysował:
ERYK LIPIŃSKI

JEDEN DZIEŃ W ISTAMBULE

NOTATKI Z PODRÓŻY

(2)

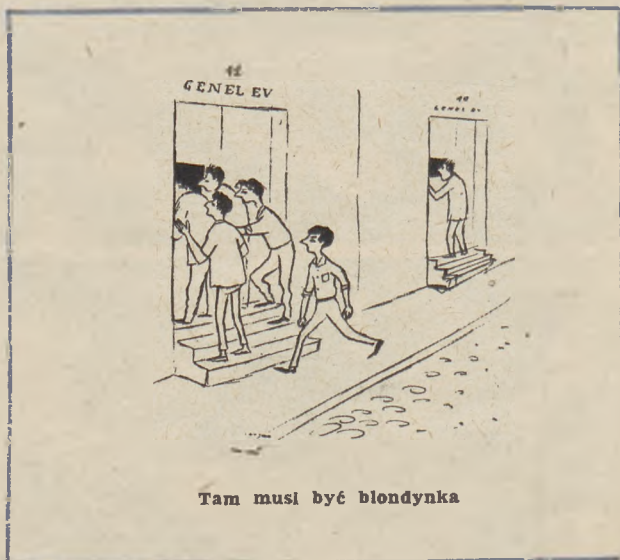


Świątynia położona jest wspaniale...

Okazuje się, że jest to wielki bank, udzielający pożyczek na budowę domków jednorodzinnych. Napis ten prześladowa nas przez cały czas pobytu w Turcji, ale przynajmniej wiemy, o co chodzi.

Parę minut drogi od głównej arterii Istambułu, zwanej przez nas Marszałkowską, gdyż rzeczywiście przypomina tę ulicę sprzed wojny — ciągnie się ulica domów publicznych. Jest ich przy tej ani szerokiej, ani długiej ulicy — czterdzieści. Silny patrol policyjny znajdujący się w połowie ulicy pilnuje, aby wszystko było w porządku. Przy każdym domu do drzwi wejściowych prowadzi kilka schodków. W drzwiach znajduje się nieduże okienko. Na ulicy dość duży ruch, sami mężczyźni, przeważnie młodzi, ubrani nędźnie. Wszyscy tłoczą się na schodkach, zaglądają przez okienka do wnętrza. Przy niektórych domach tłok jest większy niż gdzie indziej. Tam musi być blondynka. Turcy są strasznie łaśni na blondynki. Nie przeszło im to od czasów najazdów na kraje słowiańskie. Od czasu do czasu ktoś powziawszy decyzję puka do drzwi i znika we wnętrzu. Od czasu do czasu ktoś wychodzi. Pchamy się i my na te schodki i zaglądamy przez okienko. Cofamy się wstrząśnięci: nie spodziewaliśmy się takiego widoku. Cóż za upodlenie godności człowieka! Przy samym okienku, przy wejściu siedzi megiera, przyjmująca zamówienia, otwierająca drzwi, inkasująca zapłatę. Za nią w niewielkim hallu i na schodach siedzą prostytutki, dla reklamy i może z powodu gorąca porożbierane do, nie wiem dlaczego, tak zwanego rosołu. Pomijam to, że są przeważnie potwornie otyłe, że większość ujrzała światło dzienne jeszcze przed zabójstwem arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Serajewie, że wiele jest szczerbatych. To nie ich wina. Jak nie jest też ich wina, że wystawiono je, jak towar, który każdy może dokładnie i wielokrotnie obejrzeć przed kupnem. Siedzą przeważnie apatyczne i oswiałe, czasem tylko próbują wykonać jakiś ruch wabiący klienta lub uśmiechnąć się. Coś pośredniego między więzieniem a ogrodem zoologicznym. W tymże hallu siedzą oczekujący na swą kolejkę klienci, którzy, aby nie tracić na próżno czasu, odmawiają modlitwy, przesuwać w rękę gałeczkę różańca. Zaglądamy jeszcze do kilku okienek, wszędzie prawie to samo.

Nagle w końcu ulicy jakieś ożywienie. Zajeżdża kilka jeepów i szereg takówek. Wysypuje się z nich spora gromada marynarzy z US Navy w białych mundurach i charakterystycznych czapczkach. Przypominamy sobie, że na redzie była zakotwiczona flotylla lekkich krążowników. Boys są nieźle podchmieleni. Napęniają ulicę zgiełkiem, pchają się do okienek. Turcy usłuźnie robią im miejsce, wnętrza domów ożywają się. Po paru minutach kilkadziesiąt białych czapczek znika za drzwiami, w okienkach na piętrach gasną światła. Ulica się uspokaja, a środkiem kroczy patrol Sea Police (w amerykańskiej marynarce odpowiednik Military Police) w towarzystwie żandarmów tureckich.



Tam musi być blondynka



Turcy ściągają obuwie

FOTO

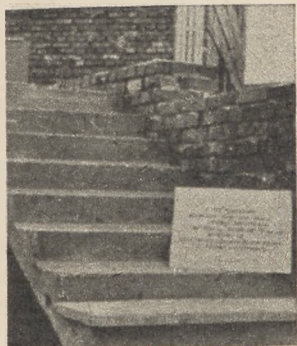
KORRESPONDENCI DONOSZA

-SZYBCIEJ, TANIEJ, WIĘCEJ-

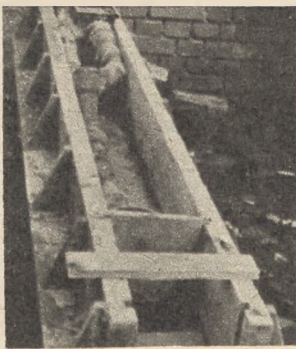
2 października — dzień Ogólnopolskiego Zjazdu Inżynierów i Techników — stał się zapowiedzią dużych zmian w budownictwie mieszkaniowym. Ponad 600 inżynierów, techników i wykonawców radziło w Nowej Hucie nad upowszechnieniem nowych radzieckich metod w budownictwie mieszkaniowym. W naradzie tej uczestniczyli również wybitni fachowcy radzieccy. Metody omawiane na Zjeździe zastosowano już przy budowie osiedla A-11 w Nowej Hucie.

Dzięki nowym metodom, polegającym na daleko posuniętej mechanizacji prac i szerokim zastosowaniu elementów prefabrykowanych, będziemy budować taniej, szybciej i więcej.

R. Paporisz, Stalinogród



Prefabrykowane biegi schodowe z płyty żelbetonowej przekryte okładziną z „terazzo” zastępują montowane dotychczas pojedyncze elementy



Dźwig podniesie węzeł instalacji sanitarnej wmontowany w część piły stropowej, a monterzy podłączą bez trudności urządzenia sanitarne

MASZYNA, KTÓREJ NIE ZAUWAŻONO

Choć ma 13 m długości i ponad 2,5 m wysokości — nikt jej dotychczas nie spostrzegł. Stoi sobie spokojnie od czasów wojny w pobliżu stacji kolejki wąskotorowej w

Białej Podlaskiej, pokryta grubą warstwą rdzy. Do czego służyła dawniej — nie wiemy. Wiemy natomiast, że dziś nadaje się na złom.

Co roku młodzież szkolna z Białej Podlaskiej zajmuje jedno z pierwszych w kraju miejsc w zbiorce złomu, wyszukując puszek po konserwach, dziurawe garnki, stare rondle i inne drobiazgi. Pracownicy PZGS natomiast nie mogą od lat dojrzeć kilkutonowej maszyny, chociaż stoi ona tuż obok magazynów tej instytucji.

Czym to wytłumaczyć?

F. Praszcak, Biała Podlaska



Chyba nietrudno dojrzeć kilkutonową maszynę, a jednak...

W CORAZ LEPSZYCH WARUNKACH

Młodzież akademicka studiującą na 9 wyższych uczelniach Poznania spotkała w nowym roku miłą niespodziankę. Dom akademicki w Gołębini został odświeżony, a ponadto 1000 studentek i studentów otrzymało mieszkania w dwóch nowowzniesionych domach przy ul. Szmarzewskiego i na Winogrodach.

Zarząd tych domów pomyślał o tym, by jego nowi mieszkańcy czuli się tu jak najlepiej. Firanki w oknach, kwiaty w pokojach, ładnie urządzona świetlica i nowoczesne ambulatorium lekarskie sprawiły, iż każdy przystępujący próg tego domu odczuł, że czekano tu na niego, że pomyślano zarówno o jego wygodach jak i rozrywkach.

Zb. Tempicki, Poznań



Uniwersytet poznański w dniu inauguracji nowego roku akademickiego

W starej, walącej się drewnianej ruderze jest jedna izba z dwoma wejściami, bardzo brudna i bardzo odrapana. Jedno wejście zastawione jest straganem z owocami i często stertą skrzyń, które zajmują połowę powierzchni owej izby. Całość mieści się w centralnym punkcie wojewódzkiego miasta Koszalina... Co to może być?

Jeśli ojcowie Koszalina i władze MPK rozwiążą zagadkę, prosimy o powiadomienie nas.

Mieszkańcy Koszalina i okolic, zmuszeni do korzystania z owej izby, twierdzą, że to ma być poczekalnia MPK.

Z. Juszek, Koszalin

CO TO MOŻE BYĆ?



Ilustracja do „zagadki”

LOTNISKIEM BĘDĄ RZeki I JEZIORA

Niedziela 10 października była pogodna i słoneczna. Wiele warszawskich żeglarzy szykowało się na rejsy po Wiśle, ale żaden z nich nie wypłynął tego dnia, rzeka bowiem na odcinku między mostem Poniatowskiego a przystanią Polskiego Radia zamieniła się w... lotnisko.

Po wielu próbach motoru, wystartował stąd na lot próbny pierwszy polski wodnopłatowiec, pilotowany przez znanego pilota doświadczalnego, A. Abiamowicza.

Wodnopłatowiec ten, projektu profesora Politechniki Wrocławskiej — inż. Teissiera, przebudowany w Instytucie Lotnictwa z samolotu turystyczno-sportowego, otrzymał silnik czechosłowacki „Praga-D” o mocy 75 KM.

Egzamin wypadł dobrze. Pilot zadowolony jest z maszyny.

Samoloty tego typu bardzo się przydadzą przy wszelkich pracach nawodnych. Są one też doskonałymi ratownikami na wypadek powodzi.

H. Filipek, Warszawa



Wodowanie. Maszyna siada miękko, bez wstrząsów

ŚWIE TLICA OTRZYMA RADIO, A CHŁEB BĘDZIE SMACZNIEJSZY

Gromada Regulice, jedna z największych w powiecie chrzanowskim (woj. krakowski), stanie się wkrótce samodzielną jednostką administracyjną i siedzibą Gromadzkiej Rady Narodowej. Regulicka Rada Narodowa obejmie ponadto gromady: Alwernia, Grójec i Nieporaz. Ogółem — ponad 3 tysiące mieszkańców.

Ludność Regulic z utęsknieniem czeka na moment

reorganizacji, spodziewając się, że przyniesie ona gromadzie zmiany na lepsze, a przede wszystkim:

...że sklepy GS będą lepiej zaopatrzone, a sprzedawcy dokładniej niż dotąd odważać będą sprzedawane artykuły;

...że miejscowa izba porodowa otrzyma lepszą opiekę i wyposażenie;

...że miejscowa piekarnia znacznie wreszcie wypiekać smaczniejszy chleb;

...że kino wiejskie częściej i regularniej wyświetlać będzie dobre filmy;

...że biblioteka gromadzka i wypożyczalnia książek wzbogaci się o nowe, wartościowe pozycje i uporządkuje katalog;

...że świetlica otrzyma radio oraz dostateczną ilość prasy i gier towarzyskich.



Regulice z lotu ptaka.

Nadzieje gromady Regulice zostaną najpewniej spełnione, ponieważ nowy podział administracyjny umożliwi

mieszkańcom wsi lepszy niż dotąd wgląd w gromadzką gospodarkę.

Z. Jarkiewicz, Kraków

W PEŁCZYCACH JABŁKA OBRODZIŁY

Młody 5-hektarowy sad spółdzielni produkcyjnej w Pełczycach, w woj. szczecińskim, liczy 1000 drzew owocowych, w tym 500 owocujących.

Niewiele, jak dotąd, było z sadu korzyści. Stał opuszczony,



Ładne jabłka, co? — cieszy się Bronisław Adamczyk

ny, nikt się nim nie zajmował, owoców zbierało się niewiele, a i to niedźnych. Ot, po parę jabłek dla dzieciaków.

Dopiero w tym roku, gdy sadem zaopiekował się Bronisław Adamczyk — wyniki są piękne. Co prawda roboty przy tym było немало. Każde drzewo trzeba było oczyścić i podciąć, okopać, podać odpowiedni nawóz i kilkakrotnie opryskać, a wiosną chronić przed przymrozkami. Adamczyk palił między drzewami suche trociny, by ustrzec kwiat przed zmarznięciem.

Trud ten opłacił się spółdzielcom z Pełczyc.

Ze swego młodego ogrodu zebrali tej jesieni — jak obiecał obliczyć — około 50 ton wysokogatunkowych owoców.

Posortowane według odmian i gatunku odsyłają w skrzynkach do Rejonowej

Składnicy Owocowej. Ze sprzedaży tej otrzymają około 300 tys. zł.

Nic więc dziwnego, że dniówka obrachunkowa spółdzielców z Pełczyc, która w zeszłym roku wyniosła w gótownie 12 zł, w tym roku przekroczy 20 zł.

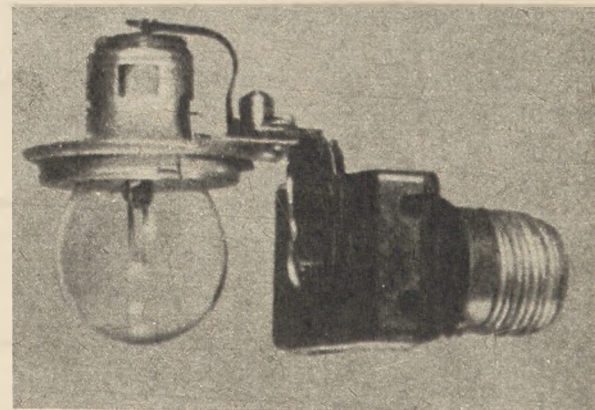
Spółdzielcy z Pełczyc zdają sobie sprawę, że do ich sukcesu przyczynił się niematerialnie troskliwie pielęgnowany przez Adamczyka sad. Doświadczenia jednego tylko roku przekonały ich, że obok upraw polnych i hodowli — sad jest poważnym źródłem podniesienia ich dochodów.

Spółdzielcy z Pełczyc zaprojektowali także urządzenie suszarni na odpady oraz specjalną przechowalnię owoców, aby nie zmarnować ani jednego jabłka.

St. Cieślak, Szczecin

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

OŚWIE TLЕНИЕ POWIĘKSZALNIKA



Oświetlenie powiększalnika jest zagadnieniem rozległym i skomplikowanym, przysparzającym wiele trudności i kłopotu fotoamatorom. Rodzaj żarówki, jej jasność, ustawienie w odpowiedniej odległości od kondensatora i płaszczyny negatywu — to problemy oczekujące wciąż jeszcze pełnego rozwiązania technicznego.

Przy powiększaniu źródło światła i jego jasność często sprawia fotoamatorom poważny kłopot. W myśl zasady „lepiej naświetlić za długo niż za krótko”, nasze zasady są na ogół zbyt silnie kryte i mamy duże trudności przy powiększaniu. Stosowanie zwykłej 75 lub 100 Watt żarówki młecznej wymaga długiego czasu naświetlania, a konstrukcja powiększalnika często uniemożliwia założenie większej, silniejszej żarówki. Lampa typu Nitraphot, wymagająca zastosowania matówki, powoduje nadmierne rozgrzewanie się aparatu do powiększeń i może spowodować roztopienie się emulsji negatywu. No i oczywiście trudności związane z nabyciem takiej żarówki, wysokie koszty, przekreślają praktyczną wartość użycia tego rodzaju lamp.

Jeden z ciekawych sposobów oświetlenia powiększalnika podaje niemiecki miesięcznik „Die Photographie” (Nr 7, 1954). Dr Bennewitz w artykule pt. „Niskowoltazowe lampy w aparacie do powiększeń”, radzi stosować samochodową żarówkę 6 Volt 50 Watt, która w efekcie wymaga kilkakrotnie krótszego czasu niż zwykła 75-watowa żarówka opalowa. Daje się ona zastosować w powiększalniku o najmniejszych nawet rozmiarach i nie stwarza niebezpieczeństwa nadmiernego rozgrzewania. Oczywiście trudność największa — to opornica, redukująca napięcie z 220 na 6 Volt. Żarówkę należy umieścić na odpowiedniej wysokości tak, żeby równomiernie oświetlała całe pole obrazu.

Przy użyciu żarówki samochodowej, dającej światło punktowe, występuje w pełni tzw. efekt Caliere’a, powiększenia są bardziej kontrastowe, a wszelkie rysy, zadrapania i nieczystości negatywu są bezlitośnie demaskowane. Zapobiega temu użycie matówki, co jednak wymaga przedłużenia czasu naświetlania.

Na zdjęciu reprodukowanym w art. Dr Bennewitza widzimy zastosowanie samochodowej żarówki 6 Volt 50 Watt, osadzonej w oprawce typu Swanson, wyposażonej w opornicę i dającej się wkręcić w normalne gniazdko zwykłej żarówki.



Ex-rekordzista świata na 1 milę, dr Bannister, „holuje” wyczerpanego Chatawaya po londyńskim biegu.

ATAKI na 5000 m

Z DUMIAŁ SIĘ świat sportowy dowiedziawszy się o fantastycznej walce na londyńskiej bieżni pomiędzy Włodzimierzem Kucem a Chrisem Chatawayem. Z walki zrodził się fenomenalny rekord świata na 5000 m, wypracowany wspólnie przez obu zawodników. Bo też historię tego biegu można skreślić w dwóch słowach: Kuc zwałczal metry, a za nim krok w krok snuł się Chataway. Aż nadszedł finisz i wtedy Anglik okazał się

szybszy o 0,2 sekundy. Spojrzało na stopery — 13:51,61 — Nowy rekord świata!

A przed kilkunastu laty twierdzono, że żaden człowiek nie przebiegnie 5 km poniżej 14 minut. Sięgnijmy pamięcią wstecz i postarajmy się odtworzyć w czasie rewii najlepszych długodystansowców świata. Nim jednak to zrobimy, wspomnijmy o pewnym biegaczu, który w 1826 roku zadziwił Paryż. Był to 17-letni Niemiec Maurycy Rummel, produkujący się za pieniądze — podobnie np. jak akrobaci w cyrku.

Wspominamy o tym chłopaku, aby przypomnieć, iż w XIX wieku lekkoatletyka nie istniała w Europie, a długodystansowcy produkowali się za pieniądze. Dopiero pod koniec stulecia ta dyscyplina zaczęła nabierać sportowych kształtów. Na pierwszej nowoczesnej olimpiadzie w Atenach w roku 1896 nie biegano na dystansie 5.000 m. Do programu długich biegów wchodził jedynie klasyczny maraton. Wygrał go wtedy pasterz grecki Luiz, który przedtem nie odbył ani jednego treningu!

Długo jeszcze trzeba było czekać, aby na olimpijskiej bieżni rozgrywano wyścig na 5000 m. Dopiero w roku 1912 w Sztokholmie wprowadzono do programu tę konkurencję. Od tej pory rozpoczyna się właściwa historia biegu pięciokilometrowego.

Dramatyczna walka rozegrała się pomiędzy Francuzem Jean Bouin a Finem Kolehmainen. Po 4.000 m znaleźli się oni na czele stawki. — Niski Francuz atletycznie zbudowany, o szerokich piersiach — biegł ciężko, wyższy Fin wydawał się zgrabniejszy i zręczniejszy. Gdy obaj rywale dobiegali do ostatniej prostej, Francuz miał nieomal 100 metrów przewagi, zdawało się, że nikt mu już nie może zagrozić. Ale Fin nie kapitulował; metr po metrze odrabiał stracony teren. Już tylko 20 metrów dzielił obu atletów, już tylko 10! Walka do ostatniego tchu... Fin wyprzedza o metr. Czas 14:36,6 — rekord świata! Francuz był gorszy zaledwie o 0,1 sekundy. Rewanż nigdy nie nastąpił. Jean Bouin zginął na początku pierwszej wojny światowej.

W roku 1920 odbyła się w Antwerpii pierwsza powojenna olimpiada.

— Na 5.000 m wygra z całą pewnością fenomen fiński — „ma-szyna do biegania” — Paavo Nurmi, mówili wtedy dziennikarze skandynawscy.

Ale był wtedy i drugi faworyt, Francuz — Guillemont. Rozpoczął się wielki pojedynek przy akompaniamencie dopingów.

— Eia, Eia, Eia! Nu-rmi! Nu-rmi! — krzyczeli z trybun Finowie i Szwedzi.

— Guillemont! Guille-mont!... — wrzeszczeli Francuzi. I oto niespodzianka: mały Francuz o wzroście zaledwie 1,60 i wadze 58 kg pokonał Nurmiego. (Nurmi był dużo wyższy, mierzył 1,78 m).

Czas wyniósł zaledwie 14:55,6.

Na 10 km wygrał jednak Nurmi i od tej pory zaczęła się jego hegemonia na bieżniach świata. Wielki Fin stał się bohaterem olimpiady paryskiej w roku 1924. W swym życiu pobili 15 rekordów świata i zdobył 6 złotych medali. Nazywano go „milczącym Paavo”, gdyż nigdy nie chciał udzielać wywiadów, zwierzać się ze swych przeżyć. Jednemu tylko dziennikarzowi udało się kiedyś podstępem porozmawiać z Nurmim. Dowiedział się pewnej interesującej ciekawostki: Nurmi biegł ze stoperem w rękę.

— Dlaczego pan to czyni? — zapytał go.

— Aby straszyć przeciwników... To jest po prostu psychologiczny chwyt. Jeśli mój przeciwnik dostrzeże, że ja spojglądam na stoper — jest przekonany, że w każdej chwili będę mógł narzucić tempo, jakie zechcę.

Pewnego dnia nadszedł kres kariery Nurmiego. Zestarzał się? — zapytacie. Nie! Fin mógł jeszcze długo biegać. Nurmi pobierał zbyt wysokie diety, gdy wyjeżdżał na imprezy za granicę. Zarzucono mu zawodowstwo. Być może, że i słusznie, gdyż w tej chwili Nurmi ma w Helsinkach kilka domów i sklep z galanterią męską.

Po Nurmim przyszły czasy Lehtinen, Iso-Holo, Haeckerta, Maekiego, Pekuriego, a zatem trwała nadal hegemonia fińska. I nagle świat dowiedział się o Januszu Kusocińskim. Janusz jednak nie miał szczęścia do dystansu 5000 m. W Los Angeles wygrał bieg na 10.000 m, ale nie mógł startować na 5000 m, gdyż obciął nogę. Szykował się do tego biegu na olimpiadę berlińską, lecz niestety kontuzja kolana zmusiła go do opuszczenia bieżni na czas dłuższy. Dopiero w r. 1938 po operacji powrócił „Kusy” na bieżnię i ustanowił wtedy rekord Polski 14:24,4. Był w pełni sił, kiedy kula gestapowska położyła kres jego życiu.

W czasie drugiej wojny światowej nadeszły ze Szwecji wiadomości o fenomenie bieżni — Gunder Haegg. Chłopak rozpoczął bieg jako 16-latek... a gdy miał 17 startował już na 10.000 m i miał poważny apetyt na maraton... Haegg dokonał niezwykłego wyczynu, w ciągu 12 tygodni pobili 9 rekordów świata! W tych atakach towarzyszył mu nieodstępny przyjaciel Arne Andersson, przegrywając z reguły o ułamki sekundy. Złota serię zaczął Haegg 1 lipca r. 1942 od biegu na 1 milę, uzyskując rekordowy wynik 4:06,2, w dwa dni później ustanowił rekord na 2 mile (8:47,8), 17 lipca na 1.500 m (3:45,8), 27 lipca pobili rekord na 2.000 m (5:16,4), 23 sierpnia znowo na 2.000 m (5:11,8), w 5 dni później na 3 km (8:01,2), 4 września na 1 milę (4:04,6) i wreszcie po tej „przygrzewce” zaatakował rekord na 5 km. Nie startował na tym dystansie od dwóch lat. Jednak próba dokonana 20 września w Göteborgu powiodła się i Haegg uzyskał 13:58,2 bijąc po drodze rekord na 3 mile (13:32,4). Zdawało się, że rekord Haegga na 5000 m nigdy nie zostanie pobity.

A tymczasem w Czechosłowacji... pojawił się Emil Zatopek. Nie będziemy mu wiele miejsca poświęcać, gdyż wyczyny „czechosłowackiej lokomotywy” mamy jeszcze świeżo w pamięci. Emil na wiosnę 1954 pobili rekord Haegga na 5.000 m w 13:57,2; niedługo jednak wyczyn ten przetrwał. Fenomenalny biegacz radziecki Kuc rozprawił się w Bernie ze wszystkimi najlepszymi zawodnikami świata i również z rekordem. Z kolei Kuc musiał kapitulować w Londynie przed Chatawayem.

Rekord Chatawaya przetrwał zaledwie 10 dni...

Opr. J. SUSZKO

LEW MA LAT TRZYDZIEŚCI

Dokończenia ze str. 16-17

SZTUKA, KTÓRA TRAFIŁA DO SUMIEŃ LUDZKICH

myślenia, daje odbiorcy łatwą i spływową po nim jak woda po gęsi papkę. Mayer nazywa ten typ filmu „prawdziwie amerykańskim”. Rzecz jasna, nie sprzyja to rozwojowi ciekawych myśli w filmie amerykańskim, obniża jego poziom. Do nielicznych wyjątków należy film Fritza Langa „Furia”, obracający się w kręgu konfliktów społecznych. Ale poza tym — nadal dominuje seryjna i bezbarwna mayerowska „papka”.

Dominuje przez następnych 12 lat — od 1936 do 1948 roku, kiedy to do M-G-M przychodził nowy jej faktyczny kierownik — Dore Schary. Mayer, weteran przemysłu filmowego, staje się figurantem. Odwiedzająca Hollywood w roku 1950 dziennikarka Lillian Ross, autorka książki o filmie zatytułowanej „Picture”, zastaje Mayera „unieruchomionego za biurkiem zastawionym czterema kremowymi telefonami, książką do nabożeństwa, kilkoma fotografiami lwów, zdjęciem matki Mayera i statuetką słonia — odznaką partii republikańskiej”. W roku 1951 Mayer ostatecznie opuszcza wytwórnię. Nosi się z zamiarem produkowania filmów na własną rękę, poza wielkim trudem. „Chcę być bardziej czynny w produkcji filmowej, niż byłem kiedykolwiek w ciągu pięćdziesięciu lat mego życia — ale będzie to mogło się stać w wytwórni i w warunkach, gdzie wolno mi będzie produkować prawdziwe filmy — proste, zdrowe filmy dla Amerykanów” — oświadcza na odchodnym Mayer. Głównie idei „prostego, zdrowego filmu dla Amerykanów” odchodzi więc również pokonany, jak jego poprzednik, wyznawca „wolnej ręki dla producenta”. Obu ich wyrzeka wielki przemysł amerykański.

Na placu zostaje Dore Schary. Schary przybywa do M-G-M po błyskotliwej karierze w RKO. Jego pojawienie się oznacza nadejście nowych czasów w filmie amerykańskim. Zakończyła się wojna i związany z pierwszym okresem powojennym popyt na filmy, narasta konkurencja telewizji, z którą trzeba się liczyć. Dlatego też Schary uważa, że należy robić filmy jedynie na podstawie pewnych, gwarantowanych scenariuszy, taniej niż dotychczas, bez specjalnego względu na jakość. Należy powściągliwie odnosić się do wielkiej wystawy, przejść na produkcję jeszcze bardziej seryjną i kameralną. Nie oznacza to jednak tego typu, który produkował Mayer. Schary dopuszcza do produkcji kilka filmów o wielkiej wystawie, są to zaś filmy, jak je oględnie nazywa prasa zachodnia, „związane z faktami z życia współczesnego”, a więc filmy, będące odbiciem postępującej faszyzacji w USA. Jeszcze pobrzmiwają echa wielkiej, mayerowskiej produkcji w trzeciej edycji „Quo vadis”, jeszcze ukazują się rozrywkowe kolubryny celuloidowe, ale Dore Schary, praktyczny i „nowoczesny” Amerykanin, człowiek o niewinnym wyglądzie „nauczyciela niedzielnej szkółki”, jak pisze o nim Lillian Ross, szykuje nową kłatkę dla postarzałego lwa: — drogę propagandy faszyzmu, hysterii i zimnej wojny. Zarówno ambicje Thalberga jak i głupawa idealizacja amerykańizmu z okresu Mayera przechodzą do przeszłości. Schary — prawie anonimowa postać, tworzy nowy film — pełen grozy, koszmaru, kompleksów i strachu.

Historia trzydziestu lat M-G-M to dzieje typowe dla amerykańskiej wytwórni filmowej. Sylwetki jej trzech kolejnych kierowników to typowe postacie dla okresu rozrastania się amerykańskiego imperializmu.

Opracował: K. T. TOEPLITZ

Gdy w roku 1935 powstał w Rzymie ośrodek badawczy — instytut i szkoła filmowa — słynne „Centro Sperimentale”, jeden z jego profesorów i współkierowników, Umberto Barbaro, przetłumaczył dzieła Eisensteina i Pudowkina, posługując się nimi w swoich wykładach. Filmem, który swoim uczniom najczęściej pokazywał i analizował wraz z nimi, był „Pancernik Potiomkin”. Najwybitniejsi twórcy ruchu zwanego „neorealizmem” — Giuseppe de Santis, Vittorio de Sica, Renato Castellani, Luchino Visconti, Giovanni Franciolini — uczyli się na filmach Eisensteina, Pudowkina, Dowżenki, Ekka.

KIEDY AMERYKANIE USŁYSZELI O MONTAŻU?

Wymienić można wiele wybitnych dzieł, w których wyraźny jest wpływ filmu radzieckiego: Rene Claira „Pod dachami Paryża”, Renoira „Marsyllanka” i „Życie należy do nas”, Asquita „Mów Anglio”, J. Griersona „Rybacy”, J. Milestona „Na zachodzie bez zmian”, Conwaya „Viva Villa”, Kinga Vidora „Nasz chleb powszedni” i „Tłum”, von Hernberga „Szanghaj-Express”, Pabsta „Braterstwo ludów” i „Opera za trzy grosze”.

Nie idzie tu oczywiście o naśladownictwo, ale o twórczy wpływ w zakresie obserwacji życia i artystycznych metod jego obrazowania.

Znamienna jest obiektywna opinia amerykańskiego krytyka burżuazyjnego, Louisa Jacobsa, zawarta w książce pt. „Rozwój filmu amerykańskiego”. Píše on:

„Zdolności radzieckich realizatorów, ich rozumienie zasad sztuki filmowej, zasad ruchu kamery były wyższe niż nawet u realizatorów niemieckich. Realizatorzy radzieccy ustalili pierwsi prawa dramatyzacji filmowej, które zostały wkrótce przyjęte przez realizatorów na całym świecie, a filmy radzieckie stały się najdoskonalszymi dziełami sztuki filmowej.

Realizatorzy radzieccy wynaleźli montaż filmowy. Amerykanie po raz pierwszy usłyszeli o montażu dzięki książkom i filmom dwóch czołowych teoretyków i realizatorów radzieckich: Eisensteina i Pudowkina”.

Filmy radzieckie wpłynęły również na poglądy na grę aktorską. Posługiwanie się przez reżyserów często ludźmi z tłumu, z ulicy, owymi „naturszczykami” znalazło swój wspaniały odpowiednik m. in. we współczesnym włoskim filmie postępowym, w którym tak wielką rolę odegrali aktorzy niezawodowi.

Najważniejszy jednak był i jest moralny i ideowy wpływ filmu radzieckiego, który — jak pisał Henri Barbusse — zawiera to, czego tak wielu filmom zachodnim brakuje: nieoceniony dar życia.

STANISŁAW GRZELECKI

Wspaniały biegacz szwedzki Gunder Haegg w ciągu 12 tygodni pobili 9 rekordów świata. Ostatni rekord Szweda w roku 1954 wykreślił z tabeli Emil Zatopek.





Keystone
Zadowoleni z rekordu świata, z uśmiechem na ustach Włodzimierz Kuc i Chris Chataway pozują fotografowi.

REKORDY ŚWIATA NA 5 KM

KOLEHMAINEN (FIN.)	r. 1912	14:36,6
NURMI (FIN.)	r. 1922	14:35,4
NURMI (FIN.)	r. 1924	14:28,2
LEHTINEN (FIN.)	r. 1932	14:17
MAEKI (FIN.)	r. 1939	14:08
HAEGG (SZWECJA)	r. 1942	13:58,2
ZATOPEK (CSR)	r. 1954	13:57,2
KUC (ZSRR)	r. 1954	13:56,6
CHATAWAY (ANGLIA)	r. 1954	13:51,6
KUC (ZSRR)	r. 1954	13:51,2

Fin Paavo Nurmi zwany „milczącym biegaczem” — w czasie swej wspaniałej kariery sportowej pobili 15 rekordów świata i zdobył 6 złotych medali olimpijskich.



ŚWIAT

o tym wie!

GENERAL FRANCO BUDUJE

Na północ od Madrytu, w jednej z dolin pasma górskiego Guadarrama, gdzie patrioci hiszpańscy zadali kiedyś sromotną klęskę faszystom generała Franco, prowadzone są olbrzymie roboty. Tysiące robotników pracują przy pierwszej wielkiej inwestycji zainicjowanej przez krwawego dyktatora Hiszpanii. Koszty jej obliczane są na 300 milionów peset, czyli około 10 milionów dolarów. Roboty trwają już od roku, a potrwały jeszcze dwa lata. O ogromie przedsięwzięcia świadczy fakt, że wymaga ono wydobycia ponad 200 tysięcy metrów sześciennych ka-

mienia. W skale wykuto już korytarz długości kilkudziesięciu metrów. Olbrzymią halę podziemną uwieńczy kopuła o średnicy tylko o metr mniej, aniżeli kopuła... katedry Św. Piotra w Rzymie.

Jaki jest cel tej gigantycznej pracy? Och, to tylko grobowiec, w którym spoczną kiedyś zwłoki generała Franco. Jak informują korespondenci prasy zachodniej, cała Hiszpania z największą niecierpliwością czeka ukończenia robót. Wszyscy pragną wziąć udział w uroczystości oddania grobowca do użytku jego właścicielowi...



TEL. 44-11-91, WEWN. 417

Dn. 23 sierpnia 1954 roku w dzienniku hamburskim „Die Welt” ukazał się komunikat:

„Byli żołnierze 12 Dywizji Pancerniej proszeni są o nawiązanie kontaktu z Gerhardtem Witte. Blomkamp 61, Hamburg-Osdorf, tel. 44-11-91, wewn. 417”.

Takich komunikatów i ogłoszeń w pismach zachodnio-niemieckich znajdują się tuziny. Są one związane z masowo odbywającymi się ostatnio „zjazdami”, „zjazdami”, „spotkaniami” oficerów i żołnierzy hitlerowskiego „Wehrmachtu”. (Przegląd takich odwetowo-militarystycznych hec, zaczerpnięty z paru numerów dwutygodnika „Soldaten-Zeitung”, podajemy obok). Ale w komunikacie hamburskiego pisma zastanawiający był numer telefonu: 44-11-91 — to telefon dowództwa brytyjskich wojsk okupacyjnych w Hamburgu. Pewien dziennikarz niemiecki zainteresował się tą sprawą i zadzwonił pod wskazany numer, prosząc o połączenie z telefonem wewnętrznym nr 417.

W słuchawce zabrzmiał język angielski:

— Tu pułkownik Anthony.

— Chciałem mówić z panem Gerhardtem Witte — oświadczył niemiecki dziennikarz.

— W tej chwili przełączę.

Z kolei w telefonie rozległ się głos Herr Wittego. Wyjaśnił on, że ko-

munikat miał na celu przygotowanie zjazdu byłych żołnierzy i oficerów 12 Dywizji Pancerniej, w której on, Witte, służył jako podpułkownik podczas najazdu na Polskę, Francję i Związek Radziecki. Niedyskretny dziennikarz zapytał wówczas swego rozmówcę, w jakim charakterze urządza on w lokalu brytyjskiego dowództwa. W tym momencie Herr Witte odłożył słuchawkę.

Monachijski tygodnik

„Deutsche Woche” (w n-rze z dn. 8 września) komentując to wydarzenie, stwierdza: „Żaden związek byłych wojskowych niemieckich nie mógłby prowadzić działalności bez zgody a przynajmniej tolerancji władz okupacyjnych, w danym wypadku brytyjskich. W tej sprawie tolerancja idzie tak daleko, że podpułkownik b. Dywizji Pancerniej, pracujący w brytyjskiej kwaterze (na pewno nie w charakterze zamiatacza

podłóg) ma prawo korzystać z oficjalnego adresu i telefonu w celu przygotowania zjazdu b. żołnierzy Wehrmachtu. Wniosek logiczny brzmi, że władze okupacyjne, w tym wypadku brytyjskie, nie tylko tolerują związki b. wojskowych hitlerowskich, ale udzielają im aktywnej pomocy, a kto wie, czy nie wpływają na ich działalność za pośrednictwem takich właśnie panów Witte”. Nie inaczej.

POLOWANIE NA MURZYNA



W pobliżu amerykańskiego miasta Lexington mieszkał do niedawna w skromnej chacie Murzyn Ed Noel. Pewnego dnia w okolicy rozszalała się plotka podawana z ust do ust. Głosiła ona, iż Noel jest jakoby w stanie „amoku”, czyli groźnego zaburzenia umysłowego.

Zamiast zainteresować tą sprawą lekarza, rasiści amerykańscy zaatakowali Murzyna z bronią w ręku. W obawie przed linczem ścigany Murzyn począł się bronić.

I wówczas do nagonki na jednego człowieka zmobilizowano całą okolicę. Kilkudziesięciu policjantów z granatami i gazami łzawiącymi poszło „do ataku”. W „akcji”

wziął nawet udział specjalnie sprowadzony samolot.

Ed Noel w rozpaczy podpalił własną chatę i zginął w jej płomieniach.

Fala tego rodzaju wypadków bestialstwa i okrucieństwa wobec ludności murzyńskiej przeszła ostatnio przez wszystkie prawie południowe stany USA. Rasiści spod znaku Amerykańskiego Legionu mścili się w ten sposób za to, iż nacisk opinii publicznej nie pozwolił im niedawno na przeprowadzenie szeregu ustaw o dyskryminacji rasowej — w szczególności zaś ustawy o dyskryminacji w amerykańskich szkołach stanowych.



DEUTSCHE SOLDATENZEITUNG

Stalingradkämpfer (Inf.-Rgt. 208) treffen sich in Andernach a. Rh.

Es trafen sich ...

... etwa 2000 Angehörige der 7. Gebirgsjägerdivision in Andernach; der frühere Kommandant Generalleutnant a. D. August ...

... die ehemaligen Bra ...

... in ihrer alten Garnison ...

... in Rückertsdorf ü ...

... der 5. Kavalleriebrigade ...

Bei der 21. I.-D. in Bielefeld

Der Traditionsverband der 21. I.-D. hatte die Angehörigen der aus Ostpreußen, Westfalen und Rheinländern bestehenden Division zu einem „Finger“-Treffen nach Bielefeld gerufen. Rund 100 alte Soldaten und darüber hinaus noch viele Angehörige aus dem ganzen Bundesgebiet, ja sogar aus der Sowjetunion, besaßen diesen Ruf. Die Veranstaltung war von General a. Inf. a. D. v. Beth ...

... Kameradenkreuz ...

... Bielefeld ...

Panzer-Grenadier-Regiment 5

Am 12. und 13. Juni trafen sich in Wächter ...

... Oberstessen zum vierten Male die Angehörigen des ehemaligen Pz.Gren.Rgt. 5, Slettin, ...

... in diesem Raum im Winter 1929/30 eine liebevolle ...

... fanden sich aus allen Teilen Deutschlands ...

... heitere Beiträge der Teilnehmer die gemeinsamen Erinnerungen der Friedens- und Kriegsgenossen. Am Sonntagabend wurden durch einen ...

... erinnernd an die Toten des Krieges ...

... vor allem am Wehrhof der Toten des Krieges ...

... Pfarrer und Pfarrer Göttschalk ...

... hielten den Feldgottesdienst, dem sich ...

... der Brigadeleiters anschloß. Ein K ...

... der Männer, die ...

... lebt haben und sich ...

... Jägerabzeichen und ...

... den Raum im ...



skleję, młodzieży studenckiej przede wszystkim.

Chodzi, jak się zapewne domyślicie, o Theatre National Populaire, który Warszawa podziwiała w ostatnich tygodniach. O ten moment w szczególności, gdy na afiszach ukazała się wieść, że (o dziwo!) bilety nabywać będzie można w kasach „Orbisu” lub, jak w parę dni później, w kasach „Gwardii”. Fakt, że „kompetentne czynniki” postanowiły wreszcie zrezygnować z całkowitego (jak dotychczas) wynaturzenia pojęcia widowiska publicznego, zelektryzował miłośników teatru. Nareszcie! Nareszcie będziemy mogli, podobnie jak mieszkańcy Moskwy czy Paryża, zwyczajnie, po prostu, po ludzku kupować bilety w kasie!

Miłośników dobrego teatru Warszawa, jak wiadomo, liczy na setki i tysiące. I oto już od 5 rano (mimo że początek sprzedaży wyznaczono na godz. 16) na rogu Brackiej i Alej Jerozolimskich zaczął się gromadzić tłum kobiet i mężczyzn. Przeważała młodzież. Z każdą chwilą przybywali nowi.

Poczęto radzić. Trzeba iść do pracy lub na wykłady. Niewiele jest osób, które mogą pozostać aż do otwarcia kas. Trzeba się zorganizować, zrobić jakiś porządek. Trzeba tak wszystko urządzić, aby uniknąć bałaganu, aby nikt nie był uszkodzowany.

Więc przede wszystkim sporządzono listę zgromadzonych, według kolejności przychodzenia. Kilka osób, które dysponowały czasem, wzięło na siebie sprawy organizacyjne oraz porozumienie z dyrekcją „Orbisu”. Ustalono, że każdy otrzyma po dwa bilety, ale tylko na jedno przedstawienie. Zebrani podali spisujących, jakie przedstawienie chcą obejrzeć, po czym zrobiono dwie oddzielne listy. Na „Don Juana” i na „Ruy Blas”. (To samo powtórzyło się w parę dni później przed Halą Mirowską).

Po załatwieniu „formalności” ludzie rozeszli się do swych zajęć, przy czym każdy skrupulatnie zanotował sobie swój numer. W tym czasie napływali wciąż nowi amatorzy biletów i każdy z nich wpisany został na listę.

Grubo przed czwartą przed kasami zrobiło się rojno i gwarno. Tłum zaczął napierać na kruche przepierzenia. Zaczęły się rodzić wątpliwości. Co będzie z listami? Czy „Orbis” zechce je honorować? Może ludzie zaczną się pchać i nic z tego wszystkiego się będzie? Czy warto stać w kolejce?

— Proszę państwa, proszę o ciszę!
— Na stołek, nie nie słyszeć!
Wszedł na stołek. Potrząsnął grubym plikiem kartek.

— Proszę państwa! Czy chcemy, aby sprzedaż odbywała się w spokoju i porządku?

— Taaak!!!
— Chwilczkę. Tu ktoś zgłasza się z pewną sprawą, a nie chcę sam decydować. Ten młody człowiek przyszedł teraz, mówi, że nie wie, gdzie o listach i żeby go wobec tego zapisać na pierwszego. Czy państwo się zgadzają?

— Nleee!!! (Ogólny śmiech).
Załatwione. No więc zaczynam czytać. Numer pierwszy — Kowalczyk.

— Jestem.
— Proszę po... linę. Numer dwa — Li-gočka.

— Obecna.
...
— Numer 468 — Krasicka. (Głos jest już mocno zachrypnięty).
— Jestem!
...
— Numer 923 — Kudowicz.
— Obecny.
Ogonek rośnie, zwija się jak wąż. Młodzi rozprawiają głośno:
— Dziś przynajmniej jest trochę sprawiedliwiej. Pójdą ci, którym naprawdę bardzo zależy.

Gdy rozpoczęto sprzedaż biletów, kilkunastu studentów wślazł się pod ręce osłonięto kasy. Kolejno, wywoływani według numerów, podchodzili z legitymacjami w rękach młodzi i starsi, mężczyźni i kobiety. Sprawdzano, czy nazwiska się zgadzają. Kto kupił bilet został skreślony z listy. Wszystko odbyło się w idealnym porządku.

Stojący obok milicjanci wdzili wokóło zdumionym wzrokiem. Nie byli wcale potrzebni.



Od i do Czytelników

Pierwsza odpowiedź na „wezwanie”

„W nr 42(169) „Świata” w rubryce „Od i do Czytelników” redakcja skrytykowała swoich czytelników za bierność i zbyt małe zainteresowanie okazywane w stosunku do „Świata”.

Jak wynika z oświadczenia redakcji „Świata”, to większą część winy za bierność czytelników ponoszą czytelnicy, z czym nie zgodziłbym się w imieniu tysięcy czytelników „Świata”.

Na samym wstępie zadam pytanie, jak sobie „Świat” — że się tak wyrażę — „wychował” swoich czytelników, że są tacy „leniwi” do podawania uwag mających na celu ulepszenie redagowania „Świata”?

Jako czytelnik „Świata” od jego pierwszego numeru, zdolałem zaobserwować, że w czasie tym „Świat” był dobry i zły. Zły — to znaczy, że mało interesujący. Były i w tym czasie rozmowy z czytelnikami, które — śmiem twierdzić — mało poruszały zagadnienia istotnych, które by powiązane były z zainteresowaniami szerszych rzesz czytelników.

W większej części (to nie tylko wada „Świata”, innych też) w odpowiedziach redakcji nie otrzymuje racji czytelnik, który podaje swoje uwagi czy spostrzeżenia co do redagowania tygodnika, a najczęściej odpowiada się takimi „wścibskimi”, że takie a takie warunki ma redakcja, lub że tematy muszą być drukowane takie, które redakcja uważa za interesujące, albo z braku miejsca itp., albo w tonie „dyktatorskim” daje się taką odpowiedź, w następstwie czego czytelnik zrażony jest dalszym pisanem do redakcji.

Posyłałem swego czasu do „Świata” pewne utwory, które z kolei przysłano mi z powrotem. Bynajmniej nie mam o to pretensji, że redakcja nie skorzystała z moich usług, ale mam pewność, że „fachowcy” niechętnie puszczają na łamy „niefachowców”, i tę jeszcze pewność, że tylko „firma” ma ułatwiony dostęp i pewne znaczenie, bo takiego z „firmą” przedrukowuje się czasem na raz we wszystkich czasopiśmie, a dość często się zdarza, że utwór takiego „firmowca” jest nudny i przepełniony oklepanymi frazesami...

To, że Brandysa „zabrakło” w „Świecie”, zauważyłem, gdyż czytałem go zawsze z zainteresowaniem i też na próżno czekałem na jakąś odpowiedź z jego strony w sprawie początkujących literatów, o której pisałem w jednym ze swoich felietonów. Podalem wówczas kilka uwag i propozycji, które niestety zostały przemilczane i mam wrażenie, że list mój (wysłany za pośrednictwem „Świata”) nie został w ogóle przeczytany.

Jasne, że zainteresowanie się osłabia, kiedy nie otrzymuje się odpowiedzi.

Redakcja „Świata” pisze, że tylko pozytywne wypowiedzi są nadsyłane, i tu chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że w wypadku, kiedy czytelnik pisze negatywnie, to w 99% nie otrzymuje racji, co można porównać z dyskutantami (których obecnie jest bardzo mało) na rozmaitych zebraniach, gdzie „osobistość” zabierająca ostatni głos w podsumowaniu, zwykle „zmyje głowę” śmiałkowi, który na następnym już zebraniu siedzi spokojnie, a jeżeli coś powie to tylko pozytywnie.

Niestety, to są fakty, które się obserwuje na każdym niemal kroku i stąd ta bierność i fałszywa ostrożność.

To, że „Świat” odniósł pewien zasłużony sukces, wystarczy przejrzyć jakikolwiek skompletowany rocznik, który czyta się z przyjemnością i z pewnym zainteresowaniem, ale... nie wszystko.

Są pewne luki, czasem większe, czasem mniejsze. Przecież „Świat” to nie „Gromada”, „Problemy” czy inne czasopismo zajmujące się określonymi z góry tematami. „Świat” winien być takim tygodnikiem, który porusza wszystkie zagadnienia co najciekawsze, wszystkiego po trochu, treściwie i jasno, przeplatając ilustracjami.

Ze redakcja „Świata” rzuciła „wezwanie” swoim czytelnikom, to niewątpliwie miała ku temu ważny powód, lecz moim zdaniem większą winę za bierność czytelników przypisać należy właśnie redakcji „Świata”.

JÓZEF JANKIEWICZ
Brodnica n/Drw.

Jest to tylko część uwag nadesłanych przez Ob. Jankiewicza, który podaje co prawda długą „receptę” na poprawę pisma. „Recepty” tej nie drukujemy, ponieważ wielokrotnie już w poruszanych sprawach zabieraliśmy głos.

W kolejnych numerach zapoznamy naszych Czytelników z dalszymi odpowiedziami na „wezwanie”, a na końcu spróbujemy z tej cennej dla nas dyskusji wysnuć wnioski — dla Waszego i naszego pożytku.

„ŚWIAT”

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefon: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wilejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Ekspertu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłódkodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.
Zam. nr 601. Papier rotogr. V/80-82 cm — 5-B-30315
podpisano do druku 27.10.54 r.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 16

Włórkwa: karystka, tyrada, dosyć, mostki, sitko, istota, katet, tartak, karat, Kanada, Adampol, talmud, moduły, myśliwi, wyroki, sorbet, protezy, pretor, patera, pantera, trepak, psina, iman, mlon, umiał, lasy, wizy, żubry, zebu, PZPR, karpa, kapa, etap.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 161 nagrody książkowe otrzymują:

A. Ruń — Gorzów, J. Zasadzki — Kraków, S. Litwiński — Lublin, M. Karaszewski — Nasielsk, A. Sęk — Ostrowiec, J. Stefańczyk — Pabianice, H. Siedlecka — Piastów, B. Kulawczyk — Radom, W. Lis — Rawicz, H. Dubiel — Sanok, Z. Czaplicki — Staliność, Koło ZMP przy PGRN — Tkaczew, F.

SZACHY

PARTIA NR 129

grana podczas tegorocznych mistrzostw RSFR

Gambit hetmański

(z przedstawieniem posunięć)

Białe: Szamkowicz
Czarne: Szaposznikow

1. c2-c4 e7-e6 2. Sg1-f3 d7-d5 3. d2-d4 Sg8-f6 4. Sb1-c3 Gf8-e7.

Często używana tu jest ostra kontynuacja 4... c5.

5. Hd1-c2 0-0 6. Gc1-g5 Sf6-e4.

W ten sposób partia zbacza z bardziej utartych ścieżek. „Normaine” warianty mogły powstać po 6... e6.

7. Gg5-e7 Hd8-e7 8. Wa1-c1. Słabsze było 8. S:e4 d:e4 9. Sd2 i czarne po 9... f5 i 10... b6 miałyby dobrą grę.

8... Se4:c3 9. Hc2:c3 c7-c6 10. g2-g3 Sb8-d7 11. Gf1-g2 d5:c4.

Czarne liczyły zapewne tylko na 12. H:c4 na co zagrałyby 12... e5. Zamiast posunięcia w tekście należało grać 11... b6 i 12... Gb7.

12. 0-0!

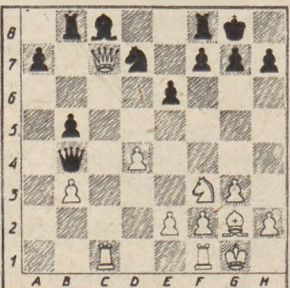
Tej odpowiedzi czarne nie przewidywały. Białe uzyskują teraz przewagę.

12... b7-b5 13. b2-b3 c4:b3. Nielepsze było 13... Sb6 14. Se5.

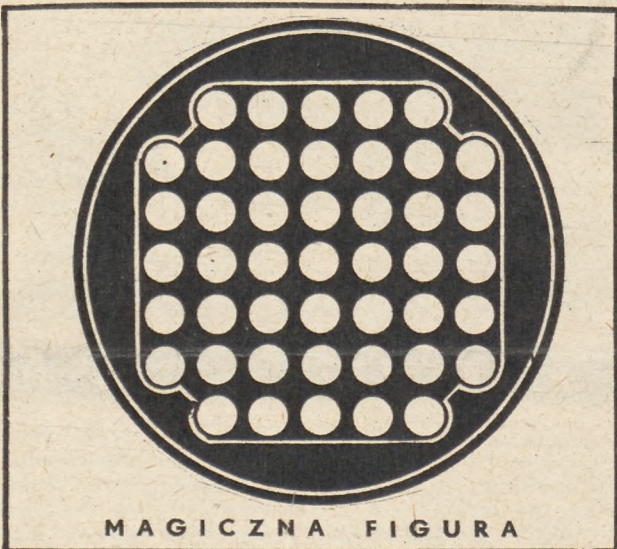
14. Hc3:c6 Wa8-b8. Słabsze było 14... b2 15. H:c8 b:c1H 16. W:c1 Sb6 17. Hb8 itd. 15. a2:b3 He7-b4? W trudnej pozycji czarne popełniają błąd. Konieczne należało grać 15... Gb7, choć i w tym przypadku białe zachowywały pewną przewagę. 16. Hc6-c7!

Patrz diagram!

16... Wb8-b6. Na 16... H:b3 nastąpiłoby równie 17. Se5. 17. Sf3-e5 Sd7:e5 18. d4:e5 g7-g6 19. Hc7:a7 Wb6-a6 20. Ha7-b8. i czarne poddały się, gdyż muszą stracić figurę.



Pozycja po 16. Hc6-c7!



Do podanej figury wpisać 5 wyrazów siedmioliterowych o poniższych znaczeniach tak, aby można je było czytać jednakowo poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów:

1) Imię męskie, 2) Naczynie gliniane z knotem i olejem używane dawniej do oświetlenia, 3) Powtarzanie tych samych wyrazów na początku

kilku zdań po sobie idących, 4) Miasto w Niemczech zach., 5) Gromada, zgraja.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają prawidłowe rozwiązania, rozlosowane zostaną nagrody książkowe

LENGREN



— Czasami wydaje mi się, że ty mnie już mniej kochasz...



Moda, którą ukazujemy na naszej kobiecej kolumnie, jest przede wszystkim MODA UŻYTKOWA. Znaczący to, że wszystko co prezentujemy naszym Czytelniczkom (zakładając, że Czytelniczki-Mężczyźni nie interesują się tą rubryką...) jest osiągalne i nadaje się do wykonania.

11", niekoniecznie nosząc krótkie włosy i niekoniecznie ulegając manii nylonowych materiałów na bluzki. Ta bluzka jest z pospolitej czarnej żorżety. Niezwykle prosta, ale kobieta, która ją nosi, umie nadać sobie ODREBNY STYL. Podkreślona umiennie indywidualność urody.

cający się w oczy — tym dyskretniejsze jego zastosowanie.

*

Trzecie zdjęcie. Umieszczamy je, żeby pokazać co to znaczy „za”. „Za” bogate uczesanie do i tak bardzo efektownej urody, „za” bogaty fason bluzki (jeszcze i to wiązanie!). A jeżeli już taki fason podobał się owej pani, nie powinna go stosować do bluzki cząsteczki, „za” krzykliwego jedwabiu. Mamy słuszość, czy nie mamy?

*

Zwróćcie uwagę na pierwsze (z lewej strony) zdjęcie. A więc można wyglądać pięknie niekoniecznie czesząc się na „Rzym godzina

Drugie zdjęcie mówi tyle: z bogatych materiałów szyciśmy jak najskromniejsze fasony. Przyjmijmy zasadę: im bogatszy materiał, bardziej rzu-

L i s t y

Moja siostra Alina wymyśliła, że napiszemy o Mamie. Kocham Mamę i lubię Mamę. Mama, chociaż stara, interesuje się wszystkim, co mnie interesuje. Mama ma pięknie wymodelowaną głowę i wcale nie ma brzucha. Robi gimnastykę, taką dla starszych pań. Wciąga 20 razy rano i 20 wieczorem brzuch mocno i tak go trzyma mięśniami przez chwilę. Chodzi, leży, stoi, to wszystko jedno. Potem zwalnia mięśnie i znów od początku. Mama mówi, że to doskonale robi na linie. Rzeczywiście Mamie to dobrze robi. Dla młodych to jest za mało, oczywiście dla takich młodych, co się interesują sportem czynnie. Raz wzięłam Mamę na zawody lekko-atletyczne. Mama się tak przejęła, że wołała „allez, allez”, chociaż tak się wolała na wyścigach kolarskich. Przy finiszu zapytała mnie, czy oni „naprawdę nie mogą szybciej?” Mama jest w sporcie jak dziecko. Alina mówiła, że trzeba napisać o wadach Mamy. Mama ma straszną wadę. NOS. Mama zawsze coś czuje. Mamie zawsze coś pachnie albo wprost przeciwnie. Mama sądzi ludzi według tego jak się myją. Jak powie, że ktoś wygląda na dobrze wymytego, to jest najwyższy Mamy komplement. Mama jest niemożliwa z

tym myciem. Bez przerwy mnie goni do miednicy. Alinę mniej, bo ona chce się podobać, a mnie jest wszystko jedno. Ja i tak nigdy nie wyjdę za męża, bo Mama zawsze znajdzie, że on się niedobrze myje, a Alina, że on robi błędy jak mówi. Aha, Mama mnie jeszcze zmusiła, żebym codziennie szczotkowała włosy 50 razy rano i tyleż wieczorem. Rzeczywiście, to dobrze robi. Ustąpiłam. Z myciem też ustępuję dla świętego spokoju. Po siedemnastu latach współżycia idzie się na kompromisy.

Franka

Gdybym miała przyrównać Mamę do którejś z ulubionych moich bohaterów, znalazłaby się prawdopodobnie między panią Wąsowską z „Lalki” Prusa a Lady Macbeth Szekspira. Może to ostatnie jest za silne, ale Lady Macbeth ogromnie mi się podoba, bo jest kobietą silnych namiętności. Tak jak Mama. Mamy namiętnością jesteśmy my z siostrą. I Mama namiętnie chce nas uzbroić w swoje doświadczenie. Co udało się Mamie? Jeśli chodzi o mnie, to przejęłam od Mamy wpajane mi „sito w głowie”, to znaczy: szybka orientacja, czy sprawa, lub problem jest biały, czy ważny i odpowiednie ustosunkowanie się do

PIĘCIORO PRZYKAZAŃ LUDZKICH

IDZ PRZEZ ŻYCIE Z CZYSTYMI RĘKAMI. PAMIĘTAJ, ŻE ILOŚĆ MYDŁA ZUŻYWANEGO W KRAJU RÓWNIEŻ SWIADCZY O POZIOMIE NASZEJ CYWILIZACJI. NIE SŁUCHAJ PANI JANINY Z EXPRESSU, GDY TWIERDZI, ŻE KOBIECIE WYSTARCY DOKŁADNIE UMYĆ SIĘ WIECZOREM, A RANO DOŚĆ PAMIĘTAĆ O ZĘBACH, TWARZY I RĘKACH. BYĆ MOŻE TO ZALECENIE DOTYCZY OSOBY FENOMENAŁNEJ T.J. TAKIEJ, KTÓREJ GRUCZOŁY POTOWE NIE FUNKCJONUJĄ WE SNIE, A SKÓRA NIE FABRYKUJE TŁUSZCZU. TY I JA NIE JESTEŚMY FENOMENAMI, MYJMY SIĘ RANO RÓWNIE DOKŁADNIE JAK WIECZOREM. NAJMOCNIEJSZE PERFUMY NIE ZASTĄPIĄ WODY Z MYDŁEM. HIGIENA OSOBISTA JEST OBOWIĄZKIEM SPOŁECZNYM. PAMIĘTAJ, ŻE MOŻNA UMRZEĆ Z BRUDU, ALE NIGDY Z PRZEMYCIA.

sytuacji. Żadnych zbytecznych tragedii przy drobnych tragediach, żadnego bagatelizowania spraw ważkich. Dalej, Mama przyzwyczaiła mnie do rozprawiania się z tak zwanymi „nastrojami”. „Jeśli masz chandrę — mówi Mama — zawsze zanalizuj, czy to z powodu bólu brzucha, czy z powodu głęboko ukrytego niezadowolenia z samej siebie”. „Żyj świadomie, kieruj sama sobą, trzymaj się w rękę. Żyjesz pośród ludzi, oni oddziałują na ciebie, a ty na nich. A to nakłada obowiązki”. Uważam to za bardzo słuszne i tak staram się postępować. Mama ma również śmieszności. Na przykład z góry jest ustos-

sunkowana niechętnie do wszystkich moich sympatii. Nie wiem dlaczego. Ma przy tym swoisty sposób „obrzydzenia” mi moich kolegów. Pomijając już sprawę mycia, poruszoną przez Frankę, Mama oblewa zimną wodą moją łatwo zapalną głowę powiedzeniami: „Mili chłopiec... szkoda, że nie nauczono go umiejętności przyszywania guzików... Obawiam się, że dopiero dzisiaj zauważył jakie to ważne...” albo „Mili ludzie, ale...” i mama wietrzy pokój. Moja młodsza siostra twierdzi, że podobne chwytły np. w sporcie są niedozwolone. Ale matkom trzeba wiele wybierać.

Alina Ziółkówna



Czego chcemy od przemysłu



1829



1954



Rysował
LECH ZAHORSKI



Rysował
KAROL BARANIECKI

JESIEŃ — PTAKI ODLATUJĄ...



...A te „ptaszki“ niestety zostaną.



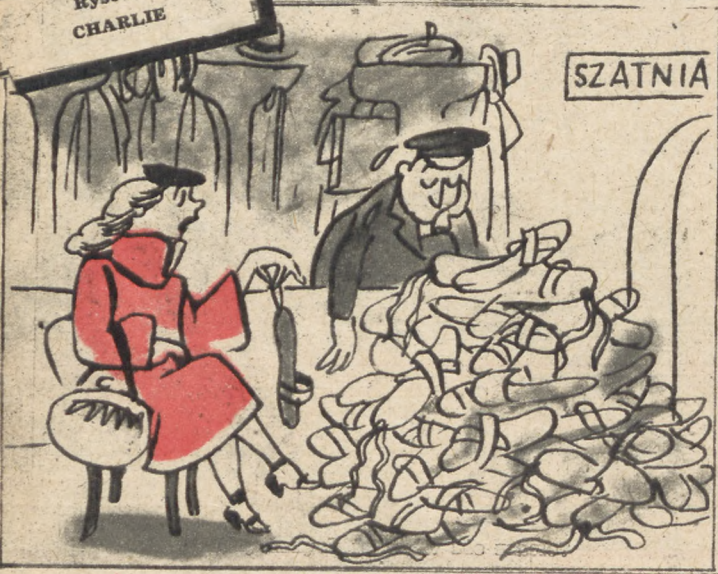
Najnowszy model biurka do wydajnej „pracy“



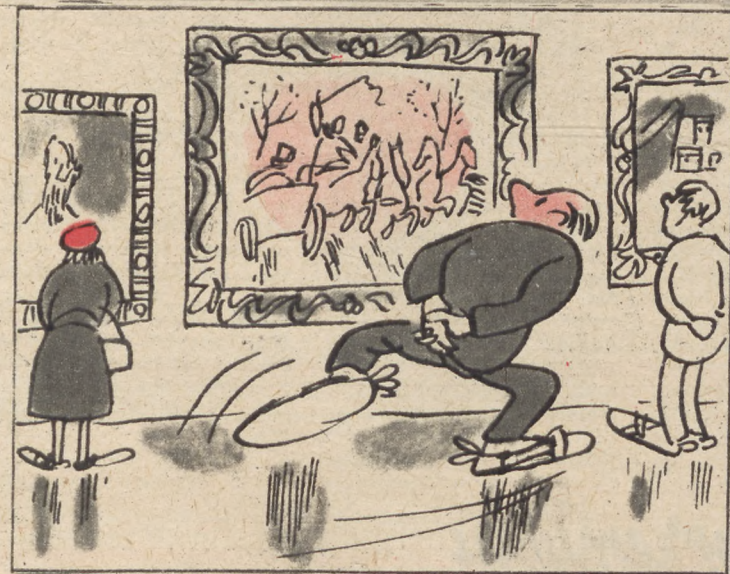
Likwidujcie odłogi!

Rysował
CHARLIE

ZWIEDZAMY MUZEUM



— Czy innych fasonów nie macie?



Zwiedzający, któremu się spieszy...



Zwiedzający, dla którego zabrakło pantofli...



Roztargniony...

